Nr. 23 Poznań, dnia 7 czerwca 1903. Rok VIII




# „Tylko chłop polski.“

Wysoko cenimy głosy, które dochodzą nas z łona warstw niższych, poczytując je za okienka do duszy ludu. Przez nie społeczeństwo zapoznaje się z pojęciami i tendencyami nurtującemi w głębi tej klasy społecznej, która kryje się w cieniu i uchyla z pod obserwacyi ogółu. Na podstawie tych listów nietylko wyrabiamy sobie pojęcie o poziomie intelektualnym i skali uspołecznienia ludu, ale także budujemy przypuszczenia, czego na przyszłość spodziewać się można od tej podwaliny społecznej, na której spoczywa przyszłość polskości w tej dzielnicy.

Z niekłamaną radością odczytaliśmy poniżej podany list „robotnika kujawskiego,“ gdyż nigdy bodaj w praktyce dziennikarskiej nie zdarzyło nam się mieć w ręku chłopskiej enuncyacyi, tak nacechowanej zdrowym rozsądkiem politycznym, takiem poczuciem obywatelskości i taką dojrzałością umysłową. List ten polecamy uwadze wszystkich obywateli myślących, — wszystkich polityków. Zwłaszcza teraz, gdy jest na czasie, powinien on zastanowić ogół i rozejść się w szerokich kołach, pod tytułem: „jak chłop polski poucza szlachcica polskiego.“

Nazwisko korespondenta pokrywamy tajemnicą. Wiedząc bowiem widocznie, że u nas na każdym kroku praktykuje się bojkot ludzi samodzielnie myślących a nie trzymających się klamki możnych, prosi on nas o to, „gdyż bogatsi mogliby go wyrzucić gdzie za dziesiątą granicę.“ Co się tyczy faktów podniesionych w tem piśmie, „robotnik kujawski“ daje nam takie wyjaśnienia, iż nie mamy najmniejszej wątpliwości, że są zupełnie zgodne z prawdą.

List ten z drobnemi poprawkami, które nie zacierają jego charakteru, brzmi:

*„Janikowo,* dnia 27-go maja 1903.

Szanowna Redakcyo!

Dzisiaj kiedy pisma polskie, niewyjmując naszej kochanej „Pracy“, nawołują lud do sprawy wyborczej, kiedy Centralny komitet prowincyonalny wydał odezwę do komitetów powiatowych, aby jak tylko można oświecać lud o sprawie wyborczej, wszędzie odbywają się wiece, ale u nas na Kujawach to tak cicho, jakby nic nikogo nie obchodziło. Udało się kilku z pomiędzy ludu do komitetu powiatowego z prośbą o zwołanie wieca w tutejszej okolicy. Komitet powiatowy zabrał się do tego dosyć energicznie. I tak na walnem zebraniu komitetu powiatowego utworzono podkomitet, którego przewodniczącym został pan dr. Brodnicki z Wielkiej Kołudy. — I jakieś dziwne ciepło ogarnęło lud polski. Z ust do ust podawano sobie, iż i u nas ma się odbyć zebranie przedwyborcze. Włościanie mimo ciężkiej pracy, pracowali po całych nocach nad przemówieniami, z któremi chcieli wystąpić, aby mniej oświeconych pouczać.

Niespodzianie gruchnęła potem wieść, iż p. dr. Brodnicki zaprosił kilku włościan do siebie, z czego była radość bez granic, ale w ślad za tem, niby piorun z pogodnego nieba, spadła wieść, iż zebranie się *nie odbędzie, ponieważ p. dr. Brodnicki radził cichą agitacyę, aby Niemców nie drażnić!* Przecież wiemy dobrze, iż tutejsza okolica jest czysto polska, zaledwie w cukrowni jest kilku Niemców urzędników. *Dość, że wielkie oburzenie powstało pomiędzy ludem, z czego naturalnie skorzystali socyaliści. Całe paki odezw socyalistycznych rozrzucono pomiędzy lud.* Do tego odzywają się często głosy z pomiędzy ludu: na co my głosujemy? Panowie nie chcą nas pouczać! My głosujemy i głosujemy a wielu nie wie czemu? — A trzeba dodać, iż większa część ludu stoi na tak nizkim szczeblu oświaty, iż niema wcale pojęcia co do wyborów, — i wogóle co do narodowości.

Kiedy na walnem zebraniu wyborczem w Inowrocławiu przedstawiono, iż w kasie wyborczej nie ma ani fenyga pieniędzy, tak, iż kasyer komitetu powiatowego p. Czapla musiał dołożyć z własnej kieszeni 4 mr.. *tedy lud sam chciał zebrać składkę. Wyznaczono poufnie na każdą wieś jednego chłopa, który miał składkę zebrać. Tymczasem p. dr. B. radził jaknajostrożniej z temi składkami, bo tych składek bez pozwolenia policyi zbierać nie wolno.* A przecież na walnem zebraniu w Inowrocławiu p. dyrektor Grosman w swem pięknem przemówieniu wyraźnie powiedział: „iż tych składek policya zabronić nie może.“

Pomiędzy tylu trudnościami, dla których zebranie się nie mogło odbyć, miał p. dr. B. powiedzieć: iż jeźli policya da pozwolenie na takie zebranie, to chyba za jakie cztery tygodnie. No, ja nie wiem co o tem sądzić. Chociaż jestem tylko chłopem polskim, wiem napewno, iż na to nie potrzeba żadnego pozwolenia policyi. Bo jeśli się zameldu je zebranie przynajmniej 24 przed rozpoczeciem, to policya

natychmiast dać *poświadczenie,* ale nie żadne tam *pozwolenie!*

Czyżby dziś jeszcze nasza szlachta na prawdę chciała nasz lud prowadzić na pasku na wybory?

*Lepiej się nad tem nie zastanawiać! My lud pragniemy z naszą szlachtą zgodnie stanąć do urny wyborczej i oddać swoje głosy tylko na dobrego Polaka, — ale takiego, który w ludzie i przez lud polski widzi zwycięztwo naszej polskiej sprawy.*

*Wierny abonent „Pracy."*
Robotnik kujawski."

List ten mówi sam przez siebie i mówi — tomy.

Przez usta „robotnika kujawskiego" woła lud polski do wyższych stanów o oświatę, o urządzenie wieców, przypomina im obowiązek tłomaczenia ciemnym „czemu głosują." A bije z tego pisma tak gorące pragnienie wiedzy i wzniesienia się na stanowisko obywatelskie, że z szczególną siłą uwydatnia się nagana dla obywatela, któremu widocznie o to chodzi, by lud trzymać w ciemności. Lubo poruczono mu urządzenie wieca, p. dr. Brodnicki odradził poufnie od tego, ze względu na to, by nie „drażnić" Niemców. Jeżli przyrzekł urządzić zebranie, to chyba na to, aby nie podjął się tego nikt, który chciał-by rzeczywiście urządzić wiec. P. dr. Brodnicki zawiódł zaufanie pokładane w nim przez wyborców z Janikowa. W myśl ugodowców, którzy żyli w wiecznej obawie, by nie „drażnić" rządu, a dziś nie każą nam drażnić centrowców, nie każą nam drażnić Niemców ostrym tonem i pod osławionem, wstrętnem, małodusznem hasłem: nie drażnić! tłumili ducha, usypiali umysły, wydawali lud na pastwę germanizacyi — p. dr. Brodnicki zwinął chorągiewkę przed kilku Niemcami-urzędnikami w Janikowie i wbrew przyrzeczeniu postarał się o to, by się wiec nie odbył. Nie podobno przypuszczać, aby pan dr. Brodnicki był mniej dobrze poinformowanym od chłopa polskiego o tem, że „jeźli się zebranie zamelduje na dobę przed rozpoczęciem, policya musi dać poświadczenie i że specyalnego pozwolenia wogóle nie potrzeba. Nie! Były to tylko „strachy na Lachy," by wybić z głowy wyborców janikowskich myśl urządzenia wieca, zniechęcić ich, uśpić ich zapał. Bo p. dr. B. nie przypuszczał, że dziś już nie można tak wodzić za nos ludu, który dowiedział się niejednego i postąpił pod względem uświadomienia. Nadto nie wiedział p. dr. B. tego, co wiedział chłop polski, a mianowicie, do czego prowadzi założenie rąk i lękliwość przed Niemcami. Niewczesne obawy ugodowca oburzyły lud, nie lękający się kilku Niemców-urzędników, i otworzyły pole do propagandy socyalistycznej.

Wynika z tego, że potrzeba tylko więcej takich ugodowców, aby zakłócić harmonię pomiędzy ludem a obywatelstwem, aby wbić klin pomiędzy te dwie warstwy, zszeregowane dziś sfornie wobec wspólnego, odwiecznego wroga, aby wydać lud na pastwę socyalizmu lub germanizacyi. Jeźli „panowie nie zechcą pouczać" tego ludu polskiego, co garnie się całą duszą do oświaty i życia społecznego, otwiera kieszenie na cele wyborcze i organizuje się sam — socyaliści pospieszą doń z swemi naukami, a szkoła niemiecka i bierność ugodowych „panów" dokona reszty, a więc zatruje duszę ludu, oderwie go od pnia polskiego i wiary naszej. Socyaliści czyhają tylko na sposobność, by wkraść się w zaufanie ludu i „pouczać" go, bo nie lękają się kilku urzędników i nie pytają się, czy zbieraniem składek, agitacyą, wiecem „drażni" się Niemców. Posiadają oni swój ideał, który wyposaża ich męstwem, a którego brak cechuje niedobitki nieświętej pamięci ugodowców taką słabością ducha. Ztąd takie nastały czasy, że *chłop polski* wyjaśniać musi ugodowcom, do czego prowadzi dyplomacya ugodowa.

Na szczęście mamy dość liczny i wzrastający zastęp szlachty i arystokracyi postępowej, która zdaje sobie jasno sprawę z ruchu emancypacyjnego i ewolucyi społecznej, jakiej jesteśmy świadkami, i postępuje z duchem czasu. Ale zdaje się, że na Kujawach pokutują jeszcze echa osławionych „prądów kujawskich," które „Dzien. Pozn." stawił naonczas pod pręgierz opinii wielkopolskiej. W ostatnich czasach jeszcze donosił nam „Dzien." o przejawach ugodowości, inne dzienniki zaś zapisywały, że nigdzie mniej nie urządza się wieców, nigdzie mniej nie drażni się Niemców. Natomiast kto żyw iluminuje tam przy festynach niemieckich, a w zamożnych wsiach gospodarskich Polacy obierają sołtysem-Niemca. Smutny ten stan rzeczy tłomaczy się chyba wpływem ujemnym ugodowców. Do dzieła ich dorzuca teraz p. dr. Brodnicki cegiełkę — odradzając od urządzenia wieców, a natomiast zalecając tylko tajną agitacyę. Nie będziemy się rozwodzić nad tem, co to znaczy tajna agitacya, ani dowodzić, że nigdy nie może ona zastąpić wieców, ani wywierać tak zbawiennego wpływu na umysły. Sam fakt bowiem, że obywatel wykształcony oświadcza się przeciwko wiecom wyborczym, a nadomiar zapobiega manewrem zebraniu, jest wprost niesłychanym wyskokiem ugodowości. Wyrzekając się agitacyi jawnej *sami odbieralibyśmy sobie przysługujące nam prawo przez brak godności narodowej.* Jakie bądź panują przekonania w naszych organach prasy, nie ma gazety, która nie potępiła by tego. Tak daleko bowiem nie poszedł żaden ugodowiec w uniżoności względem Niemców, by zrzekać się swobód obywatelskich, których sami Niemcy nam nie odbierają. Jeden chyba poseł krotoszyński gotów byłby podnieść w parlamencie ten fakt z uznaniem.

Wobec tego nie można się dziwić, że robotnik kujawski, uogólniając niesłusznie akt pana dra Brodnickiego, stracił zaufanie do szlachty i jasno przeciwstawia postulat ludu, zapowiadając, że tylko kandydat opierający się na ludzie może liczyć na jego poparcie. Końcowe zdanie jego listu pod adresem naszych polityków powinno zastanowić wypartych z szeregu posłów, a mianowicie p. dra Dziembowskiego, który ma jeszcze przed sobą karyerę na arenie parlamentarnej.

Występ ten robotnika kujawskiego jest pod każdym względem znamienitym przejawem uspołecznienia ludu i wykazuje, jak bogaty materyał narodowy tkwi w naszych chłopach. Nie wątpimy też, że robotnicy w Janikowie poradzą sobie bez p. dra Brodnickiego i doniosą o tem co zaszło swemu komitetowi powiatowemu i sami zwołają wiec, na który mogliby zaprosić jednego z posłów lub innego obywatela. Niemniej mamy przekonanie, że głos przyjaciela naszego pisma wpłynie zachęcająco na wszystkich pracujących nad uświadomieniem ludu, tak iż z zdwojonym zapałem będą się krzątać około wieców przedwyborczych, wiedząc jak obfity plon wydaje praca nad ludem, jak wyciąga on ręce po oświatę do wyższych stanów, i jaki duch mieszka w chłopie polskim.

*Quis.*

## Fałszywe alarmy.

Społeczeństwo żyje i rozwija się podług praw sobie właściwych. Toczy się jak ciężki wóz: powoli i bez nagłych zmian kierunku, a zadaniem polityka jest badanie kierunku społecznego rydwanu i uświadomienie społeczeństwa co do kresu jego rozwoju.

Są jednakże u nas panowie ogromnie gorączkowi. Traktują oni społeczeństwo jak automatyczną maszynkę, którą tylko nakręcić potrzeba, aby ją zmusić do wykonywania sztuk, podskoków i łamańców. — Pragną ująć

ster społeczny i samowładnie kierować nim, wierząc we własną apostolską gwiazdę. Społeczeństwo znosi to wszystko cierpliwie, raz po raz tylko potrzęsie głową — i toczy się naprzód niepowstrzymane.

Wtedy patryarchowie nasi wpadają w rozpacz; rozdzierają szaty i głosem zdławionym wołają: zdrada, oto upadek i „rozbiór Polski.“ — Corocznie kilka razy czytamy w „Dzienniku“ lub w „Kuryerze“ zaklęcie: jeżeli tego nie uczynicie, co wam zalecamy, zgubicie społeczeństwo.

A my nie czynimy tego i — społeczeństwo żyje, a nawet miewa się coraz lepiej. — Społeczeństwo ma bowiem bardzo silne zdrowie i tak odrazu zgubić go nie można.

Są w tych patryarchalnych zaklęciach bezgraniczne przesady. — Ileż ogromnych słów padło w ostatnim czasie. Ileż tam naliczono zdrad i Kainowych zbrodni. Gdyby w tem wszystkiem była choć cząsteczka słuszności, bylibyśmy dawno pogrzebani.

Kiedy chodziło o obór kandydatów poselskich, prasa nasza przemawiała tonem jak gdyby chodziło prawdziwie o życie lub śmierć społeczeństwa. Teraz kiedy wybrano kandydatów, a na miejsce ludzi, nie cieszących się ogólną sympatyą wybrano tak zdolnego polityka i ekonomistę jak p. Skarzyńskiego, tak energicznego i wiele obiecującego postępowca jak hr. Mielżyńskiego, — dzisiaj „Dziennik“ umywa ręce i za „fatalne (!!) następstwa“ uczynionego wyboru czyni naprzód odpowiedzialnymi „radykałów.“ Pyrusowe to zwycięztwo, — mówi. Cóż za wielkie słowo. — A chyba nikt z nas nie wątpi, że uczyniony wybór ani na jotę nie wpłynie na zmianę politycznej sytuacyi, chociaż objawia się w nim bezwarunkowo pewna zmiana w poglądach społeczeństwa.

Kiedy piszemy kronikę wielkich słów i patryarchalnych zaklęć, niesłusznie byłoby zapomnieć o wielkim wynalazku księcia Czartoryskiego, któremu w swoim rodzaju należy się pierwszeństwo pomysłu. — Ks. Czartoryski sądzi, że Pyrusowe zwycięztwo“ odniesiono dzięki *„przekupstwu“ politycznemu*. — Straszna rzecz! Przekupiono — całe społeczeństwo.

Prasa nasza dopatruje się w słowie tem ciężkiego zarzutu. My widzimy w niem tylko — zwykłą przesadę, do której u nas dawno każdy powinien był przywyknąć. Tylko że tym razem przesada ta *przeszła miarę i stała się niesmaczną*. — Rzecz bowiem sama w sobie jest niemożliwą. Gdyby było doprawdy jakieś przekupienie mas, to z natury rzeczy musiałoby dawno być znane ogółowi. Tymczasem wie (??) o niem tylko ks. Czartoryski. Może Bartek Kubie obiecał cygaro lub kieliszek wódki za kreskę dla pana Skarzyńskiego? O przekupstwie politycznem można dopiero mówić, gdzie już nie chodzi o głosy jednostek tylko o masy. — A może księciu nie podobał się tylko jakiś szczegół w prowadzeniu agitacyi. Bywa tak zawsze, co zwolennik nazywa zgrabną i energiczną agitacyą, — na to przeciwnik ma wyraz: podziemna robota, zdrada — lub jeżeli w bardzo gwałtownem jest usposobieniu, mówi o — przekupstwie.

W Polsce przekupywano często magnatów, — o przekupstwie ludu nie było i nie będzie mowy.

*Vester.*

# Z Górnego Slązka.

Na Śląsku zamieszanie coraz większe, walka w obozie polskim coraz zaciętsza. Kłótnia między organami dwóch przeciwnych stronnictw, która na chwilę przycichła, zerwała się w ostatnim czasie na nowo i przybiera formę coraz brutalniejszą. Doszło do tego, że kierownicy tych organów, wytaczają sobie wzajemnie skargi o obrazy i obelgi przed . . . . sądami pruskimi. Redaktor odpowiedzialny „Górnoślązaka“ skazany został na 500 marek kary za to, iż zarzucił kandydatowi „Katolika,“ górnikowi Królikowi, cały szereg niepięknych rzeczy, których udowodnić nie zdołał. Kierownik „Górnoślązaka“ grozi znów procesem „Katolikowi“ z tego powodu, ponieważ organ ten zarzuca mu, iż utrzymywał stosunki z socyalną demokracyą, że nawet pragnął zostać redaktorem „Gazety Robotniczej!“ Pokazuje się, że mieliśmy słuszność, wskazując na to, *iż wysunięcie na kandydatów redaktorów „Górnoślązaka“ nie przysłuży się sprawie*, bo zanadto zaostrzy walkę i wniesie do niej względy osobistej natury. Pokazuje się dalej, że słusznie wzywaliśmy, aby ktoś z posłów naszych podjął się pośrednictwa, póki czas jeszcze. Jeśli poczyniono jakie kroki — spełzły na niczem. Dość, że obecnie reszta Polski bezczynnie, a z bólem serca patrzyć musi na to, jak panowie redaktorowie śląscy coram publico piorą swoje brudy, ku zgorszeniu dzielnego ludu śląskiego, ku szkodzie sprawy narodowej, a ku uciesze i korzyści wrogów.

Główny też na Śląsku wróg polskości, centrum, energicznie wyzyskuje tę smutną dla nas sytuacyę i — nie ufając już widocznie nawet oddanemu sobie ciałem i duszą „Katolikowi,“ za pomocą własnego organu szerzy demoralizacyę polityczną i narodową wśród ludu. Za zezwoleniem ks. Kardynała dr. *Koppa* (!!) sprowadzono na Śląsk z Berlina ks. *Stefana*, kapłana władającego językiem polskim, który w Berlinie wydawał się za Polaka, i oddano mu redakcyą wychodzącego już od lat kilku w polskim języku pisma centrowego „Gazety Katolickiej“ — którą równocześnie przeniesiono do Katowic. Organ ten, zasilony teraz znacznemi funduszami z kół duchowieństwa, ma z zdwojoną mocą i przebiegłością zwalczać ruch narodowy na Śląsku, na razie zaś werbować głosy polskie dla centrowych kandydatów. Duchowieństwo śląskie wogóle — widocznie z wyższego polecenia, zrywa się teraz do zaciętej walki z polskością. Czyni to rzekomo także dla dobra sprawy *katolickiej*, w rzeczywistości zaś *ku ogromnej szkodzie Kościoła i wiary*. Uświadomiony narodowo lud polski musi to przecież uważać *za nowy zamach na tak drogie sercu jego narodowe ideały, musi z tego powodu stracić zaufanie do kapłanów, musi uważać ich za swych wrogów*, a że to dobrze nie wpłynie na jego stosunek do Kościoła, to każdy z góry przewidzieć musi.

Lecz trudno! Gdy tak powołani stróże Kościoła sami narażają go na szkodę, my jej zapobiedz nie zdołamy. Możemy co najmniej tylko ubolewać nad tem i *ostrzegać*. A ten nasz obowiązek dostatecznie chyba spełniliśmy.

Tymczasem coraz trudniej przewidzieć *wynik wyborów*. Zależeć on będzie od wielu, bardzo wielu względów, a także od drobnych nawet na pozór okoliczności. Wstrętnym wprost jest sposób, w jaki zaleca kandydata swego, „Górnoślązaka polskiego rodu“ „Katolik“ bytomski. Wyrzekłszy się już wszelkich względów narodowych, stara się pozyskać dla niego głosy robotników polskich hasłem, że robotnik tylko na swego współbrata czyli towarzysza głosować powinien. Wysuwa więc na pierwszy plan moment, który właściwie, a zwłaszcza w takiej chwili, gdy walka toczy się o polskość Śląska — powinien być conajmniej trzeciorzędnym motywem wyboru. Ale i po stronie „Towarzystwa wyborczego“ niestety nie braknie błędów. Wydana przez Towarzystwo rzeczone odezwa wyborcza jest wprawdzie bardzo przekonywająca, cóż kiedy dobre jej wrażenie psują często zbyt gwał-

...wne i niepolityczne występy „Górnoślązaka“ stwierdzające, że u jego kierowników więcej gorącej krwi i ambicyi, niż chłodnej rozwagi. Być może, że w łonie „Towarzystwa“ powiedziano sobie, iż wobec takiego przeciwnika, jak „Katolik“ — każdy sposób walki jest dobry. Ale to nie zawsze prowadzi do celu.

Co do nas, to mamy jeszcze wiarę *w zdrowy zmysł ślązkiego ludu polskiego* i pocieszamy się nadzieją, że ten jego zmysł przeprowadzi go zwycięzko przez tę straszną zawieruchę wyborczą. Niechże wskaże mu drogę właściwą to gorące jego *przywiązanie do narodowości polskiej,* które tyle już na Ślązku dokonało cudów. *Radzimy mu z całego serca trzymać się kandydatów „Towarzystwa wyborczego“* — chociażby jeden lub drugi temu lub owemu z wyborców nie zupełnie się podobał. W walce, jaka dziś się toczy na Ślązku, nie chodzi już o *osoby,* lecz o świętą *naszą sprawę narodową, o dobro całego ludu polskiego, chodzi o to, aby Ślązk ocalał dla Polski, a polski lud ślązki sam ujął w swe ręce sprawy swoje.* Gdy więc kierownicy pism polskich w gorączce walki nie zawsze pamiętają, że to nie walka o ich wpływy i osobiste znaczenie, lecz o *ocalenie Ślązka i polskiego ludu,* niechże przynajmniej lud polski na Ślązku da dowód, że wyżej stawia dobro sprawy niż wszelkie względy osobiste. Z tymi zaś, którzy dla osobistych względów zaprzepaszczają tam sprawę, policzy się Polska cała — *po wyborach.*

To jeszcze tylko nadmieniamy, *że zwycięztwo stronnictwa Centrum i „Katolika“ — pogrążyłoby lud ślązki jeszcze głębiej w narodowej i socyalnej niedoli, że przez zwycięztwo to lud ślązki na prawdę dostał by się w położenie, w którem spełnić by się mogła groźba Ballestrema o biciu po twarzy polskich Ślązaków.* Kto więc pragnie uniknąć tego, ten powinien, ten musi dziś stanąć pod narodowym sztandarem i przyczynić się do tego, ażeby z kandydatów centrowych *ani jeden nie wyszedł zwycięzko* z urny wyborczej.

*Raciborzanin.*

# Z TYGODNIA.

**Już** przed odnowieniem *trójprzymierza* nazywano sojusz ten — „rozstrojonym fortepianem.“ Gdy potem hr. *Bülow* jeździł do Wenecyi i do Wiednia i z wysiłkiem całej swej sztuki dyplomatycznej zdołał go odnowić i przedłużyć, rzekomo nawet uzupełnić nowemi „węzłami,“ prasa półurzędowa wszystkich trzech mocarstw, mianowicie zaś niemiecka huknęła na tryumf: A co? gdzie tu „odstrojony fortepian“? Darmo intrygują wrogowie tego przymierza, przedwczesną była ich radość, że nie przeżyje ono pierwotnie ustanowionego czasu swego trwania, bo oto odżyło i stało się silniejszem niż było przedtem!

A no! trzeba było wierzyć tym uroczystym zapewnieniom, gdy nikt nie miał dowodów przeciwnych. Lecz — rzecz dziwna — nazwa „rozstrojonego fortepianu“ tak przylgnęła do trójprzymierza — iż mimo tych zapewnień raz po raz pojawiała się w prasie. Nie trwało zaś długo, a wypadki polityczne nowej dostarczyły jej podstawy. Głosy, jakie się odezwały przy zmianie niemieckiego ambasadora w Wiedniu, dalej zaś z powodu przeforsowania przez rząd niemiecki w parlamencie nowej taryfy celnej — zdradzały bardzo „wymownie“, że stosunki między Austryą a Niemcami bynajmniej nie są takie, za jakie uważać by je można wedle owych „peanów“ na cześć „trójprzymierza“. Nie mniej zastanawiał wszystkich fakt, iż młody król włoski, jeżdżąc dwukrotnie na północ, raz do Petersburga, drugi raz do Berlina, omijał starannie Wiedeń i nawet w innem jakiem mieście nie spotkał się z „drogim swym sprzymierzeńcem“, *Franciszkiem Józefem.* Większe jeszcze podejrzenia wzbudziła okoliczność, iż podczas pobytu *Wilhelma II* w Rzymie, ani słówkiem nie wspomniano w toastach przy uczcie galowej o trzecim „im Bunde“ cesarzu Austryi. A jeźli po tem wszystkiem jeszcze ktoś wątpił, iż trójprzymierze jest naprawdę już — „rozstrojonym fortepianem“ — tego przekonać o tem muszą zajścia, jakich widownią jest od dwóch tygodni piękna Italia.

Zdawać by się mogło, że odżyły tam czasy, gdy to cały naród włoski demonstrował z zaciętością przeciwko panowaniu Austryi nad północnemi Włochami, Codziennie niemal zachodzą w większych miastach włoskich burzliwe manifestacye antiaustryackie. Prasa włoska z małemi wyjątkami pisze o Austryi tak, jak gdyby to był wróg a nie sprzymierzeniec. Ulicami przeciągają tłumy pod wodzą studentów, które śpiewają pieśni antiaustryackie, wznoszą okrzyki przeciwko temu państwu, zaczepiają konsulaty Austro-Węgier, palą austro-węgierskie chorągwie. Doszło do tego, że nawet w Rzymie, pod okiem króla i rządu włoskiego wojsko strzedz musi ambasady i konsulatu austryackiego, że trzeba było zamknąć uniwersytet tamtejszy, aby w nim nie dopuścić do groźniejszych jeszcze przeciwko Au... wybryków.

A jakaż przyczyna tego wzburzenia umysłów we Włoszech? Napozór bardzo słaba! Włosi, zamieszkujący południową część austryackiego *Tyrolu,* dawno już dopominają się o własny włoski uniwersytet. Poczciwy rząd austryacki zamierza też spełnić to ich żądanie „dla miłego spokoju,“ lecz burzą się przeciwko temu Niemcy tyrolscy. Studenci niemieccy w *Insbrucku* urządzili przed kilku tygodniami antiwłoską demonstracyjkę — i to wywołało ową burzę we Włoszech.

Lecz to tylko przyczyna pozorna. Właściwej szukać należy głębiej.

Jest nią wzmagający się z dnia na dzień antagonizm między Włochami a Austryą w kwestyi wschodniej. Dziś nie chodzi już o Tryest i Trydent — lecz o *półwysep bałkański,* o morze *adryatyckie.* Oszołomione swem mocarstwowem stanowiskiem Włochy pragnęłyby zagarnąć dla siebie całą Albanię conajmniej, a z pięknej Adryi zrobić morze włoskie, wyprzeć z niej i z całej Lewanty handel austro-węgierski. Mały syn wielkiego rewolucynisty — Ricciotti Garibaldi wzywa już do tworzenia legionów, które mają walczyć przeciwko Austryi, a rzecz znamienna, waryacki ten pomysł, zyskuje poklask u tłumów.

Rząd włoski postępuje wprawdzie bardzo poprawnie jeszcze, nakłada pęta temu antiaustryackiemu „ruchowi,“ uspakaja Wiedeń lojalnemi zapewnieniami, lecz i on będzie wreszcie zniewolony liczyć się z opinią publiczną.

I jakże wobec tych objawów nie nazwać trójprzymierza naprawdę *„rozstrojonym fortepianem?“*

Do wojny wprawdzie między Austryą a Włochami jeszcze daleko, jednakże wzajemne stosunki obu państw coraz bardziej naprężać się będą w miarę jak rozwijać się będzie anarchia na półwyspie bałkańskim. Ta zaś zwiększa się coraz bardziej. Wbrew zapewnieniom rządu *tureckiego,* że pacyfikacya Macedonii „już dokonana“ — codziennie niemal zachodzą tam krwawe walki między powstańcami a wojskiem i sytuacya dziś groźniejsza niemal, niż była w chwili wybuchu powstania.

*We Francyi* na porządku dziennym znów skandale parlamentarne. Nacyonaliści, pragnąc zemścić się na obecnym gabinecie za jego politykę antikościelną, wytaczają coraz to nowe niepiękne sprawy. I tak głoszą, że minister marynarki *Pelletan* utrzymywał bliskie stosunki ze znaną oszustką *Teresą Humbert,* że za jej pieniądze wpływał na wybory, a dalej, że syn prezydenta gabinetu, młody Combes, brał pieniądze nietylko od Kartuzów, lecz także od po-

wnego stowarzyszenia dla gry hazardowej za pokątne wyrobienie mu koncesyi. Dowodów na to wprawdzie nie dostarczono, zarówno stary Combes jak i Pelletan zaprzeczyli tym zarzutom, a Combes o mały włos byłby się o to pobił w Izbie z jednym z posłów nacyonalistycznych. — Izba ogromną większością głosów potępiła tę „politykę oszczerstw" — mimo to powaga rządu maleje i kto wie, czy dni chwały pana Combesa nie są już policzone.

*Joe Chamberlain*, angielski minister dla kolonii, pogromca Burów i najwpływowszy dziś angielski mąż stanu, wygłosił w ostatnich dniach dwie mowy, które wywołały mały popłoch w Europie. W mowach tych zapowiedział nie mniej, nie więcej jak zlanie się kolonii angielskich z Anglią w jednę handlowo-polityczną całość, to znaczy, że utworzą one wraz z Anglią jeden ogromny związek celny przeciwko handlowi innych mocarstw, związek, obejmujący połowę świata. Gdyby myśl ta została w czyn zamienioną, handel Niemiec, Francyi, Ameryki i wielu innych państw ogromne poniósły straty.

Nie dziw więc, że te mowy Chamberlaina znalazły głośny oddźwięk w całej prasie europejskiej. Wszystkie jej organa gorszą się na to, że jeźli Anglia zrealizuje pomysł Chamberlaina — nastanie zupełny przewrot w stosunkach ekonomicznych, zwłaszcza handlowych całego świata.

Bracia nasi — *Chorwaci* nie dali jeszcze za wygraną, lecz głośno niekiedy gwałtownie dopominają się o większe dla siebie prawa. Rząd austryacki — obawiając się złości Węgrów, dał wprawdzie posłom południowo-słowiańskim, ujmującym się za Chorwatami w austryackiej Radzie państwa, przez usta prezesa gabinetu, *Dr. Kroebera*, szorstką odprawę — ale to bynajmniej nie złamało ducha południowych Słowian. Przeciwnie, — wspólna niedola ścieśniła bardziej jeszcze węzły łączące Słowiańszczyznę austryacką i pomnożyła ich otuchę. Wspólna ta niedola będzie też najlepszą szkołą dla Słowian, gdy dobrze się w niej wykształcą — wówczas przed słowiańszczyzną zadrżą nietylko Węgrzy, ale i Niemcy...

*O. K.*

## Przegląd prasy.

Listę kandydatów [illegible]-nych opatrzyła prasa poznańska różnemi komentarzami. W uwagach „*Dzien. Pozn.*" przebija głębokie nieukontentowanie ze „zwycięztwa radykałów." Liczy się on z faktem dokonanym, bo nic innego mu nie pozostaje, zrzuca z siebie odpowiedzialność za wynik zjazdu delegatów, chociaż nikt odpowiedzialności nie składał na jego barki i pomrukuje na „Kuryera Poznańskiego," że po prostu, bez obsłonek, mówi o „zupełnem zwycięztwie radykałów." Natomiast stwierdza z zadowoleniem, że w tem ogólnem zwycięztwie przepadła gdzieś wszechpolska i radykalna kandydatura dra Niegolewskiego. Zwycięztwo, którego „Dzien." postępowcom nie zazdrości, nazywa „ujemnem i pyrusowem," i wróży, że „jeszcze im to zwycięztwo bokami wychodzić będzie!"

„*Kuryer Poznański*" spogląda na wynik zjazdu delegatów przedmiotowo i poprzestaje na stwierdzeniu w oczy bijących faktów, nie bawiąc się w przytyki i wróżby. W innym artykule wzywa do jaknajgorliwszej agitacyi i pisze:

„W niektórych z tych okręgów nie przygotowano podczas kadencyi niemal niczego.

Naprawić te zaniedbania, postarać się o ożywienie, pobudzenie ducha, świadomości obywatelskiej ludu naszego, oto zadanie teraz bardzo trudne, ale niemniej *święte*. Każdy dzień, każda chwila droga. Zatem niech hasłem naszem będzie teraz zdwojenie energii pracy wyborczej, zaprzestanie żalów i niechęci, które choć u niejednych po niepowodzeniach stronniczych są zrozumiałe, lecz nie mniej szkodliwe. Hasłem naszem: zgodna praca dla dobra narodu.

Stronnictwo zaś ludowe, które takie zwycięztwa odniosło w akcyi przedwyborczej, niech teraz stara się, nie tylko, by jego kandydaci przeszli, ale by ilość głosów polskich, na nich oddana, była największą. Jeżeli pod tym względem spełni stronnictwo to swój obowiązek, w takim razie dopiero o prawdziwym i lepszym sukcesie będzie mogło mówić."

„*Goniec Wielkopolski*" wypowiada zupełnie to zapatrywanie co my na kandydaturę posła krotoszyńskiego, pisząc:

„Jeżeli zaś komu, to ks. prał. Jażdzewskiemu życzyć należało, aby był uległ i wyzbył się mandatu. Stanowisko tego posła, jakie w Berlinie zajmował, smutnem echem rozległo się po całym kraju i rzeczywiście żałować trzeba, że udało mu się na nowo wślizgnąć w grono poselskie.

Wina to w znacznej mierze ruchu ludowego, nie zorganizowanego należycie, i nie znającego swej siły, bo już przy teraźniejszych wyborach mógł był go usunąć.

Koło polskie w nowym składzie będzie umiało zapewne trzymać na wodzy zbytnie jego zapędy, — a przy następnych wyborach będzie „Dummes Volk" już lepiej zorganizowany i wtedy nie da się wziąść na lep gładkich słówek ks. proboszcza średzkiego i jego przyjaciół, którzy zrobili wszystko, aby kandydaturę jego uratować."

„Orędownik" podnosząc, że niektóre powiaty są dla powiewu prądów ludowych „jakby deskami zabite," wypowiada przekonanie, że

„za 5, a najdalej 10 lat i tam runą zapory tamujące oświatę polityczną wśród tamtejszego ludu."

„*Goniec*" wytyka różne błędy zachowawcom, a mianowicie to, że „paraliżują każdy samoistny odruch narodowości naszej" i tak pisze:

„Czyż nie widzą, że walcząc przeciwko prądowi masy ludu coraz więcej ogarniającemu, tańczą na lodzie — i że te masy raz poruszone, jak lawina z góry się stoczą i zgniotą wszystko co im w drodze stanie!

Czyż koniecznie w każdem żywszem poruszeniu ludu polskiego przed oczy stawać im musi widmo socyalizmu!

Czyż nie mogliby lepiej siły swe zużytkować narodowi ku chwale, a sobie na pożytek, stając się prawdziwymi prowodyrami ludu — jakich mu potrzeba — pozbywając się wszelkich uprzedzeń kastowych, walcząc przeciw wszelkim nadużyciom i uroszczeniom prądu, uzurpującego sobie prawa, z których każdy się śmieje, wydającego za jednego katolika tysiące Polaków na łup germanizmowi!

Narodowość przedewszystkiem i uszanowanie dla prawdziwej „woli ludu!"

Dziś czas jeszcze — kto wie, czy jutro już nie zapóźno!..."

„Postęp w naszych pojęciach politycznych" zauważa „*Orędownik*" i sądzi, że postęp ten także oddziałał na ugodowych delegatów tak iż ustawili listę wyrażającą zupełną klęskę ugodowców. Porównując walkę o mandaty przed 5-ciu laty, a obecnie „Orędownik" stwierdza, że dziś przybyły ludowcom w pomoc liczne zastępy z inteligencyi, widząc niepoślednią siłę w ludowcach, na których ruchu można oprzeć szerszą akcyę polityczną.

„Nasze Koła poselskie — pisze ten dziennik — nie pozostają bez wpływu na główne poglądy ekonomiczne i polityczne naszego społeczeństwa. One ich wprawdzie nie regulują, ale oddziaływają na ich kształtowanie się; ugodowcy wpływali na wypaczanie jasnych zdrowych poglądów. Że u nas stosunek naszego społeczeństwa do rządu i państwa pruskiego nie został dostatecznie wyjaśniony i ujednostajniony, to zawdzięczamy przedewszystkiem wpływom żywiołów ugodowych, że posługiwali się *nawet bojkotem*, żeby niszczyć poczucie obywatelskie w warstwach średnich, że przez to wstrzymują wyrabianie się narodowej siły odpornej w ludzie, dość dzisiaj na to wskazać.

Bronić się przed wpływami takich

**żywiołów, to także było *treścią walki przy obecnej agitacyi wyborczej.*"**

Dalej stwierdza *„Orędownik,"* że

„szczerze mówiąc, wynik walki przeszedł nawet śmiałe oczekiwania ludowców i żywiołów postępowych. Szli wszyscy do walki z wiarą w siły swoje, ale takiego pogromu ugodowców nikt się nie spodziewał. Przyczyniło się do tego i to, że walka zaskoczyła ugodowców zupełnie zdezorganizowanych, że ugodowcy bardzo licho prowadzili obronę swych pozycyi."

W końcu nazywa ten organ dwie odezwy ks. Z. Czartoryskiego gwoździami do trumny obywatelskiej akcyi ugodowej oraz świadectwem wyjałowienia politycznego. Z drugiej strony podnosi, że dziś jednakowoż jest zastęp szlachty, która stoi po stronie ludu. Jest to niewątpliwie w części zasługą *dawnego* „Kur. Pozn." a mianowicie red. Franciszka Morawskiego.

*„Postęp"* w echach z walnego zebrania delegatów podkreśla końcowe, istotnie arcycharakterystyczne przemówienie ks. prał. Wawrzyniaka, którego nazwano woźnicą polityki ugodowej. Przemówienie to bowiem było delikatną i dyplomatyczną obroną polityki ugodowej. Dalej rozpisuje się „Postęp" o krewkim liście ks. Czartoryskiego, który „wcale niepoważnie utonął wraz z całą swą poważną polityką."

„Utonął wprawdzie, pisze „Postęp", przy tej powadze jego przyjaciel p. Cegielski, ale utonął z honorem, bronił się po rycersku, szedł walczyć o swój mandat, jedni brali mu to za złe, drudzy za dobre. My upatrujemy w tem pewną mężkość, choć może operował nieraz fałszywie, ale *zawsze p. Cegielski lepiej wyszedł od swego przyjaciela* politycznego „księcia pana" w opinii publicznej."

Zrzekając się kandydatury ks. *Czartoryski* uznał za stósowne skreślić takie słowa:

„Świadom tej odpowiedzialności, (jaką przyjmuje na siebie każdy poseł) mógłbym tylko wtedy przyjąć mandat, jeżeli skład Koła da mi gwarancyą, iż pracować będę w gremium, które jak dotąd bywało, sprawę publiczną *poważnie traktuje* i ponad wszystko stawia.

„Widząc zmniejszające się grono tych posłów, *z którymi gotów byłem pracować* i ponosić odpowiedzialność, zmuszony jestem ustąpić z areny parlamentarnej!"

Oczywiście list ten, niemniej jak odezwa księcia, w której zarzuca „przekupstwo" ludowcom w Kościanie, doznały należytej odprawy w prasie. Przeciwko zarzutowi rzekomego przekupstwa, w które nikt nie wierzy, zabrali głos także p. Alfred Chłapowski z Bonikowa (patrz „Głosy od przyjaciół") p. dr. Niegolewski oraz pp. Alfred Chłapowski, dr. Niegolewski, dr. Konieczny ze Śmigla, St. Niegolewski z Niegolewa i Wł. Szubert z Wielkiej wsi w zbiorowym liście do ks. Czartoryskiego, który podajemy.

Krewkie oświadczenia księcia Czartoryskiego narobiły w prasie bardzo wiele wrzawy. Nawet *„Kuryer Pozn."* przemówił w swym dawnym tonie z lepszych czasów i twierdzi, że „zniechęcenie niektórych czynników wskutek upadku dotychczasowej większości w kole jest zrozumiałem, ale *nie powinno wyradzać frondy.* Dalej czytamy:

„Przed nami wybory, gdzie chodzi o naprężenie jak największe i skupienie energii narodowej, a tu słyszymy o agitacyi w celu spowodowania czcigodnego księcia Radziwiłła, aby złożył mandat, i nie solidaryzował się z nowem Kołem, przeciwko któremu jeden z ustępujących posłów rzucił ciężki zarzut, że niepoważnie traktować będzie sprawę publiczną i nie ponad wszystko ją stawiać.

Pisma ludowe nawet wymieniają, kto z szeregów partyi pobitej udawał się w tym celu do księcia Radziwiłła. Zakusy takie należy uważać jako objaw bardzo smutny radykalizmu partyjnego, gnieżdżącego się nawet tam, gdzieby się tego najmniej można spodziewać. Nowe Koło jeszcze nie zaczęło działać. Z góry je potępiać, z góry chcieć ludzi od niego odsuwać jest w najwyższym stopniu prywatą, jest zapoznaniem dobra narodowego, jest w każdym razie poświęceniem dobra ogółu dla interesów stronniczych i to stronnictwa, które dziś jest w absolutnej mniejszości."

Zarzutu przekupstwa *„Kuryer"* jak i my nie bierze na seryo. Wprawdzie książę Czartoryski przyrzekł udowodnić swe twierdzenie przed kilku osobami, lecz przyparty do muru znacznie spuścił z tonu i okoliczność, iż na otwarte swe twierdzenie nie dał otwarcie dowodów, upoważnia do ogólnie panującego mniemania, iż nie ma pozytywnych dowodów przekupstwa. Cała jego wycieczka przeciwko ludowcom w Kościanie i nowemu Kołu polskiemu robi wrażenie nie — poważne. Książę mógł był zgotować sobie poważniejsze wyjście z Koła polskiego.

Sensacyjną wiadomość *z Ślązka* podaje warszawski *„Wiek:"*

„Centrum z uwagi, że szanse wyboru hr. Ballestrema na Śląsku pruskim są coraz słabsze, postanowiło mu zapewnić jeden z mandatów w Westfalii. Hr. Ballestrem przystał na tę kombinacyę".

Powtarzamy tę wiadomość, nie dając jej wiary, bo przecież wiedziałyby o tem coś nasze pisma górnośląskie, wiedzieliby coś korespondenci „Pracy" ze Ślązka.

Inną „kaczkę" puszczają poznańskie „Neueste Nachrichten" — jakoby hr. *Hektor Kwilecki* był próbował z pomocą księży podkopać legalną kandydaturę hr. Macieja Mielżyńskiego i agitował za samym sobą na zebraniach w okręgu szamotulsko-obornickim. Nie można przypuszczać ani chwili, aby hr. Kwilecki szukał smutnej sławy secesyonisty!

Natomiast zdaje się prawdą, że w *Prusach Zachodnich,* a mianowicie w okręgu grudziądzko-brodnickim agitują przeciwko legalnemu kandydatowi, panu Kulerskiemu. *„Gaz. Grudz."* skarży się na to słusznie. Wobec tego *„Gaz. Gdańska"* — lubo występowała przeciwko panu Kulerskiemu zajęła obywatelskie stanowisko i pisze:

„Nie pora się zastanawiać, z czyjego posiewu pomysły secesyjne powstają. Ale to pewna, żeśmy podobnych rzeczy dotąd nie znali w Prusach Zachodnich.

„My, z naszego stanowiska, nie możemy dość serdecznie i dość usilnie naprosić się naszych czytelników w okręgu Grudziądz-Brodnica, aby nietylko głosowali na p. Kulerskiego, ale, aby za nim usilnie agitowali. Takiem działaniem okazuje się rozum i sumienie."

W tym duchu kończymy dzisiejszy przegląd. Obowiązkiem naszym jest uszanować władzę wyborczą i jej decyzyę, bez względu czy podoba nam się stawiany kandydat czy nie. Dziś jesteśmy w szeregu przeciwko Niemcom, a więc każdy winien czuć się tylko żołnierzem, pełniącym swą powinność. Wszyscy, wielcy i mali, pójdziemy też do urny wyborczej i oddamy głosy na polskiego kandydata.

*Red.*

# Głosy od Przyjaciół.

*Z Westfalii,* 30 maja 1903.

Szanowna „Praco"!

Najpierw składam w imieniu mych Rodaków na obczyźnie przebywających serdeczne podziękowanie wszystkim, którzy brali udział w poznańskim wiecu westfalskim.

Rodacy nasi na obczyźnie wiedzą, że „Praca" od dawien dawna sympatyzuje z nami i popiera narodowe usiłowania ludu polskiego. Pan Biedermann okazał się gorliwym przyjacielem wychodźców i jemu zawdzięczyć trzeba, że wiec był tak liczną i świetną manifestacyą łączności Wielkopolski z emigracyą. Ja szczególnie wdzięcznym będę zawsze tak p. Biedermannowi jako i „Pracy". Zarazem składam podziękowanie p. redaktorowi Wierzbińskiemu, jako sekretarzowi, panu K. Rzepeckiemu przew., p. dr. Rydlewskiemu, dalej p. Świtale i p. Milskiemu, których zawsze cenić będziemy jako szczerych przyjaciół ludu polskiego na wychodztwie.

Wiec westfalski nie był „wszechpolskim", lecz tylko *wiecem westfalskim,* na którym wytłómaczyć pragnęliśmy nasze

**stępowanie i nasze słuszne pod względem narodowym stanowisko.**

Ubolewać zaś trzeba, że nietylko pisma yższych sfer, ale i „Postęp“ bredzi jakobyśmy Westfalczycy tylko za dekoracyę w Poznaniu służyli.

Na obczyźnie potrzeba nam spójni; m trzeba wszystko co polskie wcielać o ogniska narodowego, tam chodzi rzedewszystkiem o solidarność. Gdyby anowie z „Postępu“ i „Orędownika“ udali ię na Zachód, i poznali bliżej nasze osunki, inaczej by zaśpiewali. Ale na szczęście jest „Praca“ i inne pisma, które rozumieją nas i pouczają dobrze rodaków.

W Dortmundzie zakładają Centrowcy nowe *pismo polskie* (zapewne pan Lensing) i już poszukują redaktora Polaka-katolika a zarazem dobrego mówcę. Czy znajdzie się rozumny Polak, aby lud nasz w przepaść prowadzić i wysługiwać się wrogom naszym? Nie daj Boże!

*Stanisław Kunz.*

* * *

*Z pod Bytomia*, 30-go maja.

Na Górnym Śląsku okropne wytwarzają się stosunki wyborcze. Lud prosty jest tak zdemoralizowany i nie wie po której stronie stanąć. Ogromna spada odpowiedzialność na „Katolika“ i jego stronnictwo! Cała sfora katolikowska jeździ po wsiach i werbuje sobie partyzantów. Chociaż się „Katolik“ ogromnie zawiódł widząc, że lud odmawia mu poparcia, stara się na spółkę z księżmi i z nienawidzoną „Gazetą katolicką“ z Królewskiej Huty lud do szczętu ogłupić i wszelkiemi niegodziwemi środkami swego kandydata, byłego robotnika, za jakąkolwiek cenę przeprowadzić.

Największa walka wre w naszym tj. Bytomsko- i Tarnogórskim obwodzie. Chociaż stronnictwo socyalno-demokratyczne nie ma widoków, by swego posła przeprowadzić, zdaje nam się, iż przez Katolikową i Duchowieństwa robotę może przyjść do ściślych wyborów pomiędzy socyalistą a narodowcem lub też centrowcem.

Co były dyktator Górn. Sląska chwyta się za sztuczek, nie da się nawet opisać, bo to zabrałoby kilka arkuszy. Smutno! bardzo smutno! lud już tak świadomy swych praw, iż tylko wskazać mu potrzeba co czynić ma. Bardzo byłoby na miejscu, gdybyście Szan. Panowie raczyli nas poprzeć, chociaż wiemy dobrze, iż i Wy także macie tyle do czynienia.

*Czytelnik „Pracy“.*

* * *

*Smigiel*, dnia 29 maja 1903.

Przypadkowo byłem obecnym w ostatnią niedzielę na zabawie, którą urządzały tu Towarzystwa zjednoczone polskie z pomocą amatorów-aktorów. Zabawa taka miała rzeczywiście racyą bytu. Przytem wyrażano amatorom uznanie za trudy podjęte i dobre wywiązanie się z swych ról, przez co zaskarbili sobie wdzięczność ze strony wszystkich. Sala co prawda byłaby więcej zapełnioną, gdyby nie duch antipolski jaki tu od dawna panuje. Zabawa wspólna odbyła się bardzo harmonijnie, jedno tylko prawego Polaka raziło i serce mu raniło, to jest, że skoro poczęli grać tak zwanego „Rheinländera“ Polacy puścili się w pląsy. Polscy gospodarze zabawy, czyż nie znacie innego tańca, czyż przystoją niemieckie tańce na zabawie czysto polskiej? Zapewne, że nie. Niejeden może ubije rzecz, mówiąc, że to tutaj przyjęte. Niestety! ale tem gorzej. Należy wam wykorzenić ten obyczaj, wprowadzić śliczne polskie tańce, jak oberka i krakowiaka. Były pomiędzy tańcami i śpiewy — wyjątki z odegranej sztuki — słyszeliśmy i polskie pieśni i toasty, słyszeliśmy nawet „Lechitów“ — lecz chwil kilka potem, doszło do ust naszych „Der kleine Cohn.“ I znowu zapytać musimy, czyż brak pieśni polskich, czy nie piękne ludowe melodye polskie? Niemczyzna wciska się do nas drzwiami i oknami, a my sami otwieramy jej przystęp! Trzeba napiętnować to, że w ogniskach Towarzystw zezwala się na to, aby przy zabawach brzmiały melodye niemieckie.

Obecnym był także nasz czcigodny X. Dobrodziej i tak długo lubował go widok skromnej zabawy, aż nie usłyszał „kleinen Cohn'a,“ poczem zaraz zabrał się ku domowi. Poznaliśmy go przez krótki czas, jego pełne ojczystego zapału i ognia serce, poznaliśmy jak drogą jest mu nasza nieszczęśliwa Ojczyzna, nie dziw więc, że z tym duchem kapłan nie mógł wysłuchać takiej brukowej... śpiewki niemieckiej. Takich księży więcej a z pewnością inne zapanują stosunki pomiędzy nami, takich albo jemu podobnych dążeniami obywateli, a zmieni się Smigiel z „uralten deutchen Stadt“ na czysto polski, młody, na czerstwych siłach oparty zdrowy i silny Smigiel.

Są to drobnostki powie niejeden, może, lecz będąc czas dłuższy w okolicy i obserwując wszystko, nie podobna pominąć tego milczeniem. Przeciwnie **obowiązkiem wskazać jak smutnie wyglądają stosunki śmigielskie pod względem narodowym?**

**Znaczna część ognisk domowych składa się z matki Niemki a ojca Polaka, lub odwrotnie. Wobec tego rodzina zostająca pod wpływem Niemki używa języka nam obcego. Zdarza też się, że dom uchodzi za czysto polski; rodzice z polskiem nazwiskiem i polskiego pochodzenia, a syn albo córka ich odzywa się: ja wolę po niemiecku mówić, bo mi to łatwiej przychodzi. Cóż na to powiecie?**

**Rodzice i wy matki spytajcie się czy spełniacie godnie obowiązek, czy odwdzięczacie się matce naszej, Ojczyźnie, która tyle dla was cierpiała, która tyle dla was poświęciła a żąda od was przywiązania i wdzięczności i miłości macierzyńskiej, jakiej wy żądacie od dzieci waszych. Słusznie przyrównać by można słowa do matek Smigielskich — Polek.**

O matko Polko, jeżeli twe dziecię z młodu
W płochych rozrywkach marne trawi lata
I zapomniawszy krzywdy swego rodu
Schlebia tyranom, z wrogami się brata,
Jeżeli zwyczaje i strój narodowy
Obrasa w pośmiech lub nosi ze wstrętem,
Jeżeli się wstydzi Ojców pięknej mowy
I rad szczebioce paryskim akcentem
O matko Polko, źle syn Twój się chowa!

W końcu do was młodzi ludzie odzywam się dlatego, **że na was budujemy przyszłość i do was, panienki śmigielskie, odzywam się słowy z szczerego serca pochodzącemi, zaniechajcie tej obcej mowy, nie kalajcie nam przez naszych praojców przekazanego języka ojczystego, nie zapominajcie o naszej Ojczyźnie, która tak świetną ma przeszłość, bo**

Nie zginęła jeszcze Ojczyzna
Póki nam Polki żyją

. . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . .

a Jej więzy chwilowe, powinny nam być bodźcem do wytrwałej pracy aż do chwili, kiedy nam zabłyśnie gwiazdka szczęścia narodowego.

Wam zaś, zacni obywatele, którzy powiadacie, iż wiele się już zmieniło na korzyść polskości, muszę powiedzieć, starajcie się, aby to, co uzyskane, nie tylko nie poszło na marne, lecz abyśmy nie uronili ani jednego członka wielkiej rodziny polskiej, wychowali dziatwę naszą w poczuciu polskości na prawych, dzielnych, uspołecznionych Polaków.

*M.*

---

*Bonikowo.*

Szanowną Redakcyę

upraszam uprzejmie o umieszczenie następującego pisma.

„Deklaracya ks. Zdzisława Czartoryskiego wzbudziła żywe echo w naszym powiecie. Twierdzenie księcia o rezygnacyi pana Skarżyńskiego jest sprawą pomiędzy nim a panem Skarżyńskim, która już została wyjaśnioną na zebraniu delgatów.

Co innego sprawa przekupstwa. Ta obchodzi wszystkich, którzy w akcyi przedwyborczej brali udział. Otóż w tej sprawie pozwalam sobie wyrazić zdanie, iż ks. Czartoryski, o ile udało mu się wykryć wstrętny fakt przekupstwa na korzyść p. Skarżyńskiego, miał święty obowiązek poruszenia publicznie tego faktu i zwróceną na zebraniu delegatów.

Przekupstwo przy wyborach jest najohydniejszem zwyrodnieniem wolności obywatelskiej, jest objawem upadku społeczeństwa, chorobą, przeciw której nigdy dość wcześnie wystąpić nie można.

To też, choć nie należałem do zwolenników kandydatury p. szambelana Cegielskiego, pragnę tem bardziej jako wyborca kościański, by kwestya podniesiona przez księcia, jak najprędzej była wyjaśnioną.

Kto przekupywał i kogo przekupiono? Nazwiska są tu konieczne, a dla honoru naszego powiatu, dla dania nam możliwości napiętnowania jak najostrzejszego tak przekupujących jak przekupionych, upraszam księcia o wymienienie takowych. Zyska on wdzięczność wszystkich stronnictw, wszystkich uczciwych ludzi. Dodam

jeszcze, że od razu po przeczytaniu deklaracyi księcia przedsięwziął cały szereg ludzi dobrej woli, znających wybornie stosunki miejscowe, badania w celu wyśledzenia jakiegokolwiek objawu przekupstwa. Otóż do tej pory, pomimo usilnych starań, żadnych takich objawów *na korzyść p. Skarżyńskiego* wykryć nie zdołaliśmy.

Nie wątpię, że książę, który przecież w swoim czasie był sam posłem kościańskim, nie uczyniłby, jako mąż w sprawach publicznych wytrawny, tak ciężkiego zarzutu naszemu powiatowi, gdyby nie rozporządzał dokładnym materyałem informacyjnym w tej mierze. Publikacyi tego materyału oczekujemy w najkrótszym czasie.

Z winnym szacunkiem
*Alfred Chłapowski.*"

## List otwarty do X. Zdzisława Czartoryskiego.

Szanowną Redakcyę upraszamy uprzejmie o zamieszczenie następujących słów:

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy odezwania się księcia Czartoryskiego na prośbę, by złożył dowody rzekomego przekupstwa przy wyborach w okręgu kościańsko-śmigielsko-grodzisko-nowotomyślskim. — Książę Czartoryski po kilkodniowej zwłoce zabrał nareszcie głos. Drugie to odezwanie się księcia nie jest już w formie tak nadzwyczaj ostrej, jak pierwsza deklaracya, w której książę piętnując działalność stronnictwa ludowego, jako „farsę jarmarczną," mówi o bezczeszczeniu zasad,o karczemnych zapasach, o nadużyciach i wreszcie „o 4-tym rozbiorze Polski." Ton drugiej deklaracyi księcia jest już o wiele łagodniejszy. Nie cofa w niej jednak książę żadnego z uczynionych zarzutów, a nawet wprost podtrzymuje najcięższy z nich, t. j. zarzut przekupstwa; odmawia zaś wręcz żądaniu, by publicznie złożył dowody na swoje twierdzenie.

Otóż nowe to wystąpienie księcia uważać musimy jako ciężką krzywdę wyrządzoną całemu okręgowi wyborczemu. Znajdujemy, że od razu przy pierwszym swoim występie książę był zobowiązany dać publiczne dowody na swoje twierdzenie. W każdym razie zaś jest on do tego obowiązany teraz, gdy opinia publiczna wręcz się tego domaga. —

Zarzut uczyniony został publicznie, a nie poufnie wobec prezesów; publicznie zatem dowody prawdy nań złożyć należy. Jeżeli księciu zdaje się, że publiczne wymienianie nazwisk w „sprawie zdrożnej i nagannej" nie leży w interesie ogółu, w takim razie nie powinien był publicznie zarzutów tych czynić. — My zaś oparci na obecnym stanie opinii w okręgu, mamy przeciwnie przekonanie, że traktowanie poufne tej sprawy musi wywołać jak największe rozgoryczenie i zaniepokojenie wśród wyborców, którego koniecznie należy uniknąć, by raz nareszcie rzecz całą wyjaśnić i zakończyć i, by odium rzucone tak na kandydatów jak na wyborców i ich „prewodyrów" zostało usuniętem.

Prócz tego kieruje nami uczucie, które księciu jest obcem, a dla nas drogiem, mianowicie pragnienie, by na stronnictwie ludowem,nie ciężył zarzut, iż obawiało się ono jasnego przedstawienia dowodów księcia. —

Książę powtórnie cisnął zarzut przekupstwa, — oświadcza, że dowody ma, ale, że je poufnie tylko chce przedłożyć. My żądamy w imię sprawiedliwości, w imię tej polityki uczciwości, na którą się książę w swej deklaracyi powołuje, by niezwłocznie nazwiska przekupujących i przekupywanych publicznie wymienił. Jesteśmy przekonani, że słuszność naszego żądania zostanie nareszcie przez księcia uwzględnioną. Dotkniętymi czuć się tu muszą nie prezesi komitetów, lecz wyborcy i wszyscy, którzy w agitacyi brali udział lub na korzyść, których agitowano. Zatem jako uczciwy człowiek ma każdy z nich prawo żądania publicznego i wyraźnego złożenia dowodów. Jako zwolennicy stronnictwa ludowego, o którego dobre imię dbamy, będziemy mogli w razie, jeżeli książę złoży dowody i poda nazwiska, przyczynić się do oczyszczenia stronnictwa z kompromitujących je czynników, brak zaś dowodów, byłby w danym razie największą satysfakcyą dla tego stronnictwa, przeciwko któremu tyle pisano i mówiono.

Zaznaczamy zarazem, że nie godzimy się na określenie księcia, który pisze w swej drugiej deklaracyi, że osoby, dotknięte tą sprawą zawiniły może tylko zbytnią krewkością. My daleko ostrzej takie nadużycie sądzimy i oświadczamy, iż przekupstwo uważamy jako ohydne zwyrodnienie obyczajów, jako brak poczucia honoru osobistego i politycznego. Ludziom takim ręki się nie podaje i drzwi się przed nimi zamyka. Jeżeli książę wie o takich ludziach w okręgu wyborczym, niech ich wymieni.

Poznań, dnia 29. 5. 1903.

*Alfred Chłapowski z Bonikowa, dr. Konieczny ze Śmigla, dr. Felicyan Niegolewski z Poznania, Stanisław Niegolewski z Niegolewa, Władysław Szubert z Wielkiejwsi.*

# Oświadczenie.

**Zebrani w Essen członkowie Głównego komitetu wyborczego polskiego oraz członkowie komitetów wyborczych miejscowych w liczbie około 250** uchwalili jednogłośnie następujące oświadczenie, nad którem obradował komitet centralny i zjazd delegatów dnia 26-go maja w Poznaniu.

Członkowie „Głównego Komitetu wyborczego polskiego dla Westfalii, Nadrenii i przyległych prowincyi" oraz komitetów powiatowych i miejscowych usilnie oświadczają, co następuje:

I. Na podstawie dokładnej znajomości ludzi i stosunków na obczyźnie stwierdzamy, że wszyscy Polacy, którzy od lat dziesiątków brali i dziś jeszcze biorą udział w naszem życiu narodowem, którzy *przeciwdziałają germanizacyi a budzą ducha narodowego wśród Rodaków,* są gorącymi zwolennikami kandydatury narodowej. Przeciwni kandydaturze polskiej są tylko płatni ajenci pana Lensinga i Polacy zniemczeni przez niemieckie stowarzyszenia i gazety oraz garstka niewyrobionych politycznie Rodaków, których zbałamuciły oczywiste falsze i oszczerstwa, ogłaszane przez ludzi przewrotnych w niektórych gazetach w ojczyźnie.

II. Wiemy wprawdzie, że ogół Polaków pójdzie za głosem swojej najwyższej władzy wyborczej, ale mimo to ubolewamy, że niektórzy intelligentni Rodacy i niektóre gazety polskie w kraju ojczystym *mniej uświadomionych narodowo* Polaków na obczyźnie *odrywają od organizacyi polskiej, pchają ich w objęcia germanizatorów i na niechybne narażają wynarodowienie.*

Przeciw nadużywaniu w tym celu haseł religijnych i przeciw niepokojeniu sumień prawowiernych katolików przez wmawianie im, jakoby głosowanie na Polaka-katolika a nie na Niemca było grzechem, protestujemy stanowczo i upraszamy czynniki powołane, aby zapobiegły wreszcie szerzeniu tych *fałszywych nauk.*

III. Polacy na obczyźnie są wolnymi, równouprawnionymi obywatelami i mają prawo samodzielnego stanowienia o swoich losach.

Jeżeli na **wiecach publicznych** wybrali sobie najwyższą **władzę** wyborczą, to *każdy uczciwy* **Polak,** a także **Rodacy w stronach rodzinnych** uznać **i uszanować ją powinni** *pod zarzutem warcholstwa i zdrady narodowej.*

Przeciw odrywaniu ludu polskiegogo na obczyźnie od organizacyi na-

rodowej, zakładamy stanowczy i energiczny protest i upraszamy Szanowny Komitet Centralny i Zjazd delegatów w Poznaniu, jako najwyższą władzę wyborczą tej dzielnicy, aby *zakazali* swoim zwolennikom *działania przeciw bratniej a równorzędnej i równouprawnionej, choć z robotników złożonej władzy na obczyźnie.*

*Essen*, dnia 24-go maja 1903 roku.

Imieniem i z polecenia zgromadzonych i przewodniczących:

Za przewodniczącego: Andrzej Kranc z Gelsenkirchen.

Za sekretarza: F. Wojciechowski z Bochum.

Następnie liczne dalsze podpisy członków głównego komitetu wyborczego i miejscowych komitetów wyborczych.

# ODEZWA.

## Kochani Rodacy i Współobywatele!

Nadchodzi dzień zaszczytnej walki i zwycięztwa!

Dnia 16-go czerwca stajemy do urny wyborczej jak jeden mąż i oddajemy głosy nasze na dotychczasowego posła naszego do parlamentu

**p. Bernarda Chrzanowskiego w Poznaniu.**

Chwila to radości i tryumfu, gdzie około 16,000 mężów polskich w jednym dniu o jednej godzinie do jednego należących okręgu oddaje kartkę na jednego i tego samego rodaka jest tak podniosłą, zaszczytną a rzadką, że warto wspomnieć i zachować jej dziejowe znaczenie!

Mamy wybierać z okręgu naszego posła do parlamentu niemieckiego w Berlinie na lat pięć. Mamy wybrać Rodaka, *który zna nasze bóle, nasze krzywdy* dokonywane codziennie na nas samych, i na dzieciach naszych! Religii czyli nauki Wiary naszej świętej uczą dzieci nasze w niezrozumiałym języku! Rodzinnego naszego kochanego języka i śpiewu polskiego nie ma prawie w szkole wcale! Murzynów w Afryce i Chińczyków w Azyi uczą niemieccy nauczyciele w ich własnym murzyńskim i chińskim języku; nas na własnej, odwiecznej piastowskiej glebie zmuszają do niezrozumiałej nauki, która zamiast kształcić dzieci nasze powoduje ich narodowe zobojętnienie. Odbierają nam chleb codzienny przez bojkot czyli stronienie od kupców i rzemieślników naszych! Wydalają lud nasz kochany polski, a sprowadzają kolonistów Niemców i zniewalają przez to braci i siostry nasze do ciężkich robót w kopalniach i fabrykach na zachodzie, gdzie pracować muszą często bez Boga w kościele, bez książki i gazety polskiej w domu, prawie jak skazańcy na Sybirze i Kamczatce!

Któż zna lepiej te wszystkie krzywdy nasze, któż lepiej je wypowie przed rządem, *któż lepszym będzie oskarzycielem* krzywdzicieli naszych przed światem, jeżeli nie nasz dotychczasowy od 12 lat między nami mieszkający poseł

**Bernard Chrzanowski z Poznania?!!**

Na niego więc jednomyślnie wedle wskazówki naszej najwyższej władzy wyborczej czyli „Komitetu Prowincyonalnego" oraz na mocy uchwał walnych zebrań głosować będziemy jak jeden mąż!

Lecz nie dość jest — zwyciężyć!

Poznań i powiaty wschodni i zachodni poznański pobiły wprawdzie przed dwoma laty zjednoczonych Niemców i żydów, którzy oddali 9,500 głosów przeciw naszym *15 i pół tysiąca,* ale od tego czasu *namnożyło się wrogów!*

Jacy są ci nieprzyjaciele? Setki urzędników Niemcow osiedlono w Poznaniu i po „Amtach" — *komisya kolonizacyjna* wykupiła Kiekrz, Sołacz, Gońcin, Krzesiny i inne wsie w naszych powiatach! Komisya kolonizacyjna, do której funduszów wpływa także nasz grosz polski, nie sprzedaje zasadniczo ziemi Polakowi; tak samo i „Generalna komisya w Bydgoszczy" uniemożliwia Polakom kupno ziemi za spłatą rentową. Wrogowie ludowi naszemu wciskają gwałtem kartki w rękę na Niemca! *Drugi nieprzyjaciel to socyaliści!* Bałamucą lud a odwróciwszy się od Boga i drogiej nam narodowości polskiej ukochanej pchać nas chcą w jarzmo swej partyi, sieją nienawiść i czyhają na dusze i serca nasze, aby je odwrócić od nieszczęśliwej Ojczyzny naszej, od Polski a również i od Wiary naszej świętej! Oni także urwać pragną polskich naszych narodowych głosów.

*Nie pozwólmy się bałamucić.* Niechaj liczba głosów naszych się raczej powiększy, niechaj poseł nasz Bernard Chrzanowski jedzie z tem przeświadczeniem do Berlina, że jesteśmy silniejsi, bardziej oświeceni i bardziej na duchu wzmocnieni jak przed dwoma laty. *Pokażmy wrogom, że* przez dwa lata mimo kolonizacyi i wbrew agitacyi socyalistów *liczba głosów naszych urosła,* że nas nie zmogą, lecz większym uciskiem do coraz większego prowadzą uświadomienia i narodowego rozbudzają ducha!

Czyż możemy posłowi naszemu dodać lepszej otuchy i większej energii dla obrony naszej, jak przez to, że zwiększymy liczbę jego wysłańców i jego zwolenników? Znamy go od lat wielu jako miłośnika i kształciciela ludu; gdzie tworzą dzieło dobre i pożyteczne tam nie obędzie się bez posła naszego p. Bernarda Chrzanowskiego! Robotnicy! P. Bernard Chrzanowski jest nie tylko obrońcą naszych narodowych idealnych spraw polskich, ale także broni naszych materyalnych interesów.

Niechaj podniętą, wyrazem wdzięczności i uznania za jego pracę i poświęcenie będzie zwiększona liczba oddanych nań głosów.

Niechaj to imię

**Bernard Chrzanowski z Poznania**

będzie symbolem jedności i zgody, wdzięczności i uznania, ale niechaj równocześnie będzie hasłem do zaciętej walki, bodźcem do osiągnięcia walnego zwycięstwa!

*Głosujemy wszyscy dnia 16-go czerwca we wtorek od godziny 10-tej rano do godziny 7-ej wieczorem.*

Punktualnie o godzinie 7 kończy się odbieranie kartek — trzeba więc głos swój oddać *koniecznie już przed godz. 7-mą.*

Kartkę na Niemca lub socyalistę należy podrzeć i wyrzucić, ale trzeba to robić mądrze i skrycie, aby się nie narażać niepotrzebnie na badania i nieprzyjemności. Naszą polsko-katolicką kartkę z nazwiskiem Bernard Chrzanowski z Poznania należy czystą zachować przynieść ją do lokalu wyborczego. Przy wejściu otrzyma się kopertę urzędową. Idzie się do drugiej izby lub za zasłonę. Tam niewidzialnie kładzie się kartkę (Chrzanowski) w kopertę. Trzymając kopertę w ręku idzie się do stołu wyborczego, wymienia się imię swe, nazwisko i miejsce zamieszkania a potem oddaje się kopertę przewodniczącemu, który kładzie ją zaraz do urny. Poczem można spokojnie wracać do domu z poczuciem, że się spełniło swój obowiązek i *bez zgryzoty serca i wyrzutów sumienia, że się głosowało na Niemca lub na socyalistę!* Czyżby znalazł się tchórz lub zdrajca Polak co nie oddałby głosu na swego?! *Toż koperta chroni tajemnicę* a tyle rozumu ma każdy, że niemiecką kartkę będzie umiał zniweczyć a swoją dobrze ukryć i w kopertę wsunąć! Rodacy nie zaprzedawajcie Wiary św., nie zaprzedawajcie Ojczyzny nieszczęśliwej Waszej!

Radością i dumą sprawiedliwą napełnią się serca Wasze, gdy nazajutrz przeczytacie w gazetach, że ukochany nasz poseł

**Bernard Chrzanowski z Poznania**

zwyciężył wroga, że dostał nie 15, ale 16 lub 17 tysięcy głosów!

Tej radości, tego tryumfu naszej wspólnej sprawy, kochani Rodacy i Współobywatele, życzymy Wam szczerze a jako Wasza przez Was zaufaniem obdarzona i przez Was obrana władza wyborcza wołamy Wam w braterskiej zgodzie i miłości:

***Nie godzień imienia Polaka kto nie głosuje na swego!***

***Spełnijcie Wasz obowiązek!***

Komitet wyborczy dla miasta Poznania:

*Dr. Fr. Kożuszkiewicz*, prezes. *Marcin Kaniasty*, zast. prezesa
*Stefan Chociszewski*, sekretarz *Karol Rzepecki*, skarbnik
*Stanisław Chmielewski. Wacław Dolacki.*
*Andrzej Janowicz. Dr. Adam Karwowski.*
*Jan Kaatz. Teodor Krause. Józef Kużaj.*
*Zenon Lewandowski. J. Mayer.*
*Maks. Musiał. Bronisław Noskiewicz.*
*Marcin Noskiewicz. Stanisław Offiersk.*
*Stanisław Pfitzner. Kazimierz Poturalski.*
*Stefan Schneider. Józef Sołecki.*
*Stanisław Stolpe. Ignacy Szafran.*
*Antoni Szczaniecki. Seweryn Wrzesiński.*



*Filutka.*

# Dział illustrowany

## U ostatniego z Reytanów

Niedaleko od Lachowicz, małego miasteczka w guberni mińskiej, tem tylko odróżniającego się od setki podobnych mieścin litewskich, że Mickiewicz wspomniał o niem w „Panu Tadeuszu,“ leży wioska Hroszówka, gniazdo rodzinne słynnej rodziny Reytanów.

Dziś mieszka tu ostatni z Reytanów, p. Józef.

Jest to wnuk rodzonego brata Tadeusza, ten bowiem zeszedł ze świata bezpotomnie. Krew Reytanów wprawdzie płynie jeszcze w paru rodzinach: jedna z sióstr p. Józefa, Marya, jest poślubiona hr. Aleks. Grabowskiemu z Tołkaczewicz, druga — Jadwiga, wyszła za mąż za hr. Adama Czapskiego z Nowosiołek. Nazwisko to wszakże historyczne nosi dziś sam już tylko p. Józef, ożeniony z bar. Hartingh i nie mający żadnego potomstwa. Ponieważ w młodszem pokoleniu krew Reytanów płynie w młodych pp. Henryku hr. Grabowskim i Franciszku hr. Czapskim, istnieje przeto projekt, jak słyszałem — nie dość zresztą jeszcze dojrzały w obecnej chwili — aby, złączywszy w pewnej mierze dwie fortuny, uczynić z Hroszówki majorat, której ordynat przybrałby do swojego nazwiska i nazwisko Reytana.



Dom w Hroszówce.

Dla ścisłości dodajmy, że wszyscy członkowie rodziny piszą się dziś Reyten, a nie Reytan, a to zgodnie z papierami dokumentalnemi, wywiezionemi ze Szwecyi, zkąd Reytanowie ród swój wyprowadzają.

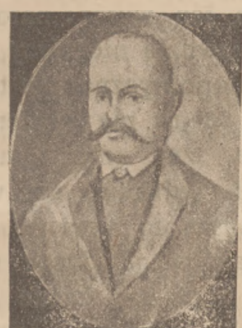
Oto mała kartka genealogiczna.

Hroszówka położona jest na równinie jednostajnej, dość piaszczystej, i malowniczością się nie odznacza; okoliczne lasy posiadają jednak jeszcze nieco wdzięku dawnych borów litewskich. Za to gospodarstwo tu kwitnie. Pan Józef należy nietylko do bardzo zamożnych, ale i do bardzo postępowych i śmiałych ziemian naszych. Prowadzi głównie gospodarstwo przemysłowe, posiada dwie gorzelnie; folwarki ma połączone telefonem; pani Reytanowa zaś prowadzi bardzo poważną hodowlę rasowej trzody chlewnej, na wielu wystawach medalami odznaczonej.

Przed niedawnym czasem bawiłem w gościnie w domu p. Reytana. Nie pominąłem też sposobności, aby o historyczną postać Tadeusza zapytać.

Pan Józef z wielką uprzejmością przyniósł mi zeszyt z pamiątkami po dziadku.

— Nie wiele tu jednak pan znajdzie, niestety, a już nic, coby jakieś światło nowe lub choćby charakterystyczne rzucało na postać Tadeusza —



Tadeusz Reytan.

rzekł mi. — Oto parę druków. Są to wycinki ze współczesnych djarjuszów sejmowych. A oto list Tadeusza, pisany do ojca z Warszawy: młody człowiek bawi się w stolicy, o spotkanych znajomych sąsiadach wspomina i prosi... o przysłanie jeszcze dwustu złotych. I oto wszystko, com zdołał zgromadzić o nim, szukając jednak, gdzie się dało.

Rzuciłem okiem na list — jedyny dokument, jaki pozostał po charakterystycznej postaci.

Pisany na arkuszu pismem równem, okrągłem, dość pięknem nawet, nie zdradza najmniejszych śladów natury nerwowej lub rozstrojonej.

Wskazałem na portret, wiszący w gabinecie.

— A tu czy jest cokolwiekbądź z dokumentu?

— Sądzę, że nic. Podobnież jak i na słynnym obrazie Matejki w wiedeńskiej galeryi. Po Tadeuszu Reytanie nie pozostał żaden portret współczesny, ani rysunek. Ja myślę, że jak ten portret, tak i twarz Reytana na obrazie Matejki poczerpnięte są wprost z wyobraźni i choćby nawet ustnej. Widzi pan tu czoło wysokie, minę gęstą, nos prosty, wąs zawiesisty — idealny niejako typ Polaka. Tymczasem rodzina nasza pochodzi ze Szwecji, w Polsce osiadła dość późno nawet, bo w wieku XVII, i to prawdopodobnie ku końcowi, i w rysach zachowaliśmy nieco pierwiastków skandynawskich.

P. Józef wyprowadził mnie przed dwór.

— W tej oto murowanej oficynie Tadeusz zakończył życie. W furji, już w ciągu ostatnich lat, szkłem potłuczonej szyby rozerżnął sobie żyły.

— Od kiedy datuje się obłęd Tadeusza?

— Przywieziono go już ze sejmu obłąkanego. Czy to ówczesne wypadki dziejowe były jedynym i bezpośrednim powodem zwichnięcia jego umysłu — czy też, odwrotnie, nerwowy rozstrój rozwinął się poprzednio, a na słynnem posiedzeniu sejmowem znalazł tylko sobie ujście? — na to dziś odpowiedzieć nie sposób.

Nie psujmy jednak legendy....

W murowance, gdzie umarł Tadeusz Reytan, dziś mieszczą się kuchnie.

*W. K.*

## Źródło natchnienia Chopina.

Napisał Zygmunt S. Słupski.
(Ciąg dalszy.)

A przełom ten nastąpił przy pomocy Liszta i Berlioza, ale dopiero w latach trzydziestych, już po rewolucyi lipcowej, której wpływ także w pewnej mierze ułatwił Chopinowi to ostateczne zwycięztwo.

A ten rewolucyonista z bożej łaski, ten reformator i ojciec nowoczesnej techniki fortepianowej, co sztukę na nowe pchnął tory, to wyjątkowe zjawisko w jej historyi. A przecie nie stworzył



Oficynka w Hroszówce.

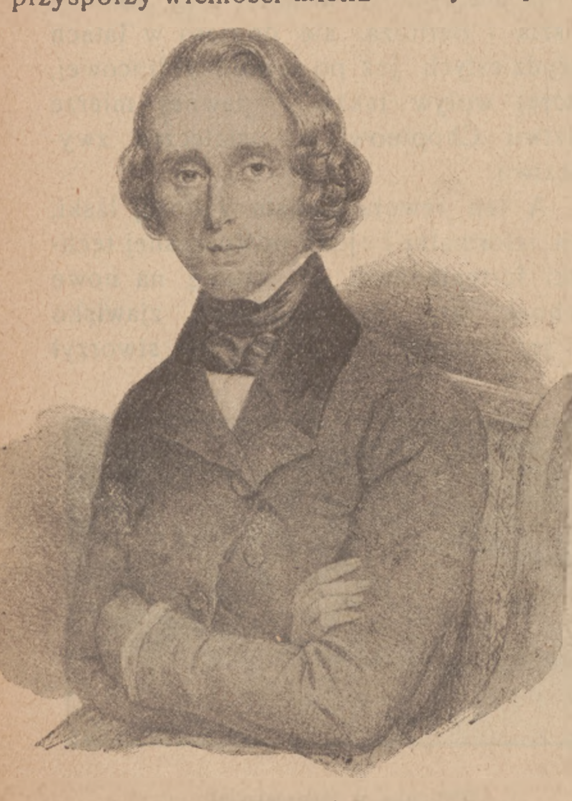
nic, coby imponowało rozmiarami. Żadne oratoryum ani symfonia, żadna opera nie wyszła z pod jego pióra — a jednak to olbrzym zdolny wywrócić porządek świata. Słusznie też w świątyni jego chwały, między pierwszymi, obok Kopernika stanął, i zawsze tam stać będzie, po wsze wieki budząc podziw, na świadectwo cywilizacyjnych zasług i niespożytego ducha tego narodu, co takich synów rodzi.

Szczupłe rozmiary dzieł, jakie nam zostawił, nie mogą obniżyć jego stanowiska, bo umiał tyle w nich zamknąć piękna, tyle tam wlał myśli wzniosłych i uczucia, że starczy tego za niejedną operę. Liszt zresztą słusznie przypomina, że Petrarce przedewszystkiem sonety sławę zdobyły; a któż Berangerowi nieśmiertelności zaprzecza dlatego, że tylko piosenki pisał? Wszak nieraz mały obrazek bywa wyżej ceniony, niż wielkie płótna pendzla Rubensów albo Tintoretich.

Chociaż więc skala twórczości Chopina niezaprzeczenie mniejsza niż takiego Beethovena albo Schuberta, niemniej prawdę ten sam Robert Schuman powiedział, że to najśmielszy duch poetycki naszych czasów. Charles Willby zaś, dzieło swe zamyka uwagą, że ten duch zostawił świat o wiele bogatszym, niż go zastał. Inny znów Anglik zapewnia, że jeszcze nikt Chopinowi nie dorównał w bezwzględnej doskonałości wykończenia.

A mówiąc nawiasem, Willby, to surowy krytyk, i przytem tak względem jego narodu uprzedzony, że wcale tu podejrzanym być nie może.

Zbyteczną zresztą powtarzać więcej pojedyńczych głosów, nie ujmie to ani przysporzy wielkości mistrzowi tej miary, gdy mu już dawno jeden ogólny głos przyznał wieniec nieśmiertelnych.



F: Chopin podług Delacroix.

Ale nigdy nie więdnące laury winien on tylko sobie i swemu narodowi. Należy to podkreślić, bo kiedy nawet taki Mozart, obcym zrazu ulegał wpływom, zwłaszcza Heydena, a Beethoven wpływom Mozarta — Chopin tymczasem od początku do końca jest tylko sobą. W gwiaździe jego geniusza nie świeci ani jeden pożyczany promyk — wszystkie jego, tylko jego własne, tylko polskie. A jak żadnych nie miał pierwowzorów, tak też i zeszedł bezpotomnie, bo niedościgniony, darmoby go naśladować. Stoi więc sam, odosobniony, a tem wspanialszy.

Ale budząc całego świata podziw i uwielbienie, ma on jeszcze wobec własnej ojczyzny wyjątkowe do uznania i wdzięczności prawa. Pominąwszy nawet jego obywatelskie czyny — boć te były obowiązkiem — dość tu przypomnieć, że on to przecie nieomal stworzył muzykę narodową, którejśmy przed Kurpińskim prawie wcale nie mieli.

Podkreślam ten wyraz: narodowa.

Mówią wprawdzie niektórzy, że muzyka jest kosmopolityczną, ale to więcej niż względne, że już nie powiem wręcz: fałsz. Prawda, że znaki muzyczne dla wszystkich jednakie, ale właściwa ich, ta ich dusza co tkwi po za nimi, jest różną, jak różną dusza narodów i jednostek, a ztąd nie każde oko widzi ją w tych znakach, przynajmniej nie jednakowo pojmuje. Słusznie też Goethe radzi: „Chcesz zrozumieć poetę, idź do jego kraju“. („Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.“) Ale i to niezawsze wystarcza, przynajmniej co do Chopina. Aby go należycie pojąć, trzeba z mlekiem matki wyssać te same przymioty i wady, te same ideały i tradycye, z których jego naród wyrósł; trzeba przeboleć wszystkie nieszczęścia kraju, które on przebolał, to samo kochać, to samo nienawidzieć — słowem myśleć i czuć jak sam mistrz, jak jego naród.

Niedarmo przecie nasz Bohdan zapewnia „U nas inaczej, inaczej.“ I to prawda. Czyż potrzeba dowodzić, że każdy naród ma swoje odrębne właściwości. Wszak klimat, położenie geograficzne i topograficzne kraju, jego gleba i warunki ekonomiczne oraz dzieje, muszą oddziaływać na sposób życia i obyczaje, — a więc i na charakter mieszkańców.

Znane zjawisko w świecie zwierzęcym, widoczne także i w życiu człowieka. Wiadomo np., że niektóre owady, przybierają barwę liści albo kory drzew, na których żyją; a ten sam szary nasz zając, na północy bywa białym jak śnieg, po którym skacze. Podobnie człowiek, ulegając wpływom otaczającej go natury, przystosowywa się także do warunków swego bytu. Jakżeż stąd różnym jest ogorzały a gnuśny mieszkaniec południa, od tego, co na północy, w walce z surowym klimatem, zaprawia się do czynu. Innym też jest Góral od mieszkańca stepu, a nadmorski rybak od rolnika z głębi kraju. Zamknięty w swych dolinach Góral, widzi tylko wciąż te same, wiecznym śniegiem pokryte szczyty, wspina się na nie jak koza, i bodaj żyćby nie umiał bez muzyki tych wichrów, co jak potępieńcy wyją mu wśród urwisk. A tymczasem oko rybaka biegnie w dal bez końca po wygładzonym oceanie, albo też patrzy na ruchome góry wód, kiedy wściekłe morze gra mu swoją pieśń na ścianach skał.

Zda się przepaść dzieli tych ludzi — inaczej oni żyją, inaczej patrzą, inaczej też myślą i czują — inne pozory, inna też ich dusza.

Tak też całe narody różnią się swym charakterem — a Polski może więcej niż inne. Nawet i w nim samym jeszcze dość znamienne występują różnice. W okolicach np. gdzie lud przez wieki żył pod nieustanną groźbą napadów tatarskich, w jego usposobieniu przeważa smutek, podczas kiedy bliższy stolicy, a więc bezpieczniejszy — Mazur, Krakowiak lub Kujawiak, jest dziarski i wesół.

A naturalnie, różnice charakteru narodów, muszą się też odbić i na ich dziełach, nie wyłączając muzyki, której tem samem nie można kosmopolityczną nazywać.

Może zresztą twierdzenie takie więcej miało racyi dawniej, za panowania klasycyzmu, kiedy piękno mierzono jedną miarą; ale od czasu jak romantyzm zawrócił do wieków średnich, i zaczął z głębi serc ludu odgrzebywać stare, zapomniane legendy, baśnie, piosenki z charakterem nawskroś miejscowym: indywidualizm coraz się więcej uwydatniał w dziełach twórców nowego typu

(Ciąg dalszy nastąpi)

## Senne widzenie.

Dziś we śnie miałam przecudne widzenie:
Na górze stromej tam stał anioł biały,
W tęczowe blaski był spowity cały,
Piękny jak dziewic urocze marzenie.

A u stóp mego białego anioła
Rosły kwieciste, pełne drzew, ogrody;
Dalej zaś rzeka toczyła swe wody,
A jeszcze dalej jakieś były sioła.

Anioł z uśmiechem spoglądał ze szczytu,
Bo widział skrzętnie pracujących ludzi,
Których słoneczko i skowronek budzi,
Im towarzysząc dzień cały od świtu.

Tu żadnych sporów, wszędzie cisza błoga,
Jeden drugiemu pomocy udziela,
Na twarzach wszystkich jest uśmiech wesela,
A myśli czyste wzlatają do Boga.

„Co to za ludzie?“ spytałam anioła.
„To są Polacy, — lecz nie ci z przed laty,
„Skorzy do miodu, skorzy do debaty,
„U których butna mina, dumne czoła.

„To są Polacy, co przeszli katusze!
„Im z cierni wieniec wkładano na głowę,
„Ziemię ojczystą wydarto i mowę,
„Których wróg nawet chciał zatracić dusze!

„Lecz oni święci rozpacz, ból stłumili,
„I choć gnębieni nie wydali jęku,
„I bez bojaźni przed wrogiem, bez lęku
„Mowy ojczystej dzieci swe uczyli.

„Pan Bóg na niebie liczył ich niedole,
„Więc rzekł: „Już dosyć owej ciężkiej próby,
„Bom ja poprawy czekał, a nie zguby,
„Już się skończyły nieszczęścia i bóle.

„Ziemia ta polska wam zwrócona będzie,
„Język ojczysty już niekrępowany
„Rozbrzmiewać będzie wśród ludu i pany,
„A miłość, zgoda zapanują wszędzie!“

„I ci Polacy, co tyle cierpieli,
„W niewoli z dawnych wad swych oczyszczeni
„Jak złoto w ogniu, wiarą posileni
„Z Bogiem i pracą życie swe zaczęli!“

I błogosławiąc anioł podniósł rękę......
W tej samej chwili znikło mę widzenie
I senna mara i złote marzenie!...
„Kiedyż zakończysz, Panie, naszą mękę?“

*Jadwiga Wyrybkowska.*

## Barbara Bronisława Czarnowska.

**Kadet 1-go pułku jazdy Augustowskiej w 1831 roku.**

Sylwetka biograficzna.

(Dokończenie.)

Mieszkający koło Gołubia, państwo Jezierscy uprosili Czarnowską by, nim dalsze jej losy się rozstrzygną, zamieszkała u nich. Chętnie się zgodziła i, odprowadzona przez siedmiu oficerów swego pułku, znalazła tak serdeczne przyjęcie, otoczono ją tak rodzicielską opieką, że przebyła w ich domu prawie rok cały. Tymczasem generał Woroniecki również pragnął, by koniecznie zamieszkała u siostry jego Czapskiej w księstwie Poznańskiem, odwdzięczając się więc za jego dobroć, musiała to uczynić i wybrała się w podróż. Po drodze jednak okoliczności zatrzymały ją w Dąbrówku, pod Brodnicą, wsi państwa Pawłowskich, gdzie znalazłszy niezwykle miłą córkę ich, swoją rówieśniczkę, zabawiła tu parę miesięcy i dopiero ztąd w poważnem towarzystwie posła Chełmickiego, pojechała do Czapskich. Zaraz na samym wstępie dom ten jej się nie spodobał. Prowadzony był na stopie wielkopańskiej, nawet w życiu codziennem obowiązywała tu najściślejsza etykieta, rozmawiano tylko po francuzku lub niemiecku. Prosta, szczera, żywa natura Czarnowskiej uczuła się tak dziwnie nieswojsko, że pomimo usilnych nalegań, po kilku dniach dom ten opuściła, a los ją rzucił do wsi Karczewo do państwa Bojarskich. Tu natomiast znalazła otoczenie jak najlepiej odpowiadające sobie. Szczerze polska rodzina z właściwą sobie gościnnością i serdecznością przypadła jej do gustu jak niemożna bardziej. Sam pan Bojarski, jakkolwiek piastujący urząd sędziego apelacyjnego w Berlinie, znany był jako gorący patryota, który oddał sprawie polskiej niemałe usługi.

Była tu Czarnowska lat parę i byłaby Bóg jeden wie jak długo, gdyby nie nagły w r. 1834 rozkaz władz pruskich, by wszyscy byli wojskowi polscy natychmiast kraj opuścili. Chcąc omylić władzę, stawiła się Czarnowska w Gnieźnie u landrata, prosząc, jako kobieta o paszport. Lecz, słyszący widocznie o niej, landrat odrzekł:

— Ależ panią zwą „panna porucznik!...“

Naprożno się tłumaczyła, kłamiąc, że nazywają ją tak dlatego, gdyż była niegdyś zaręczoną z porucznikiem, lecz się to zerwało... Nie pomogło i zamiast paszportu otrzymała marszrutę wojskową. Musiała więc opuścić zacnych państwa Bojarskich i postanowiła wracać do domu. Pani Bojarska sama ją odwiozła aż do Kalisza.

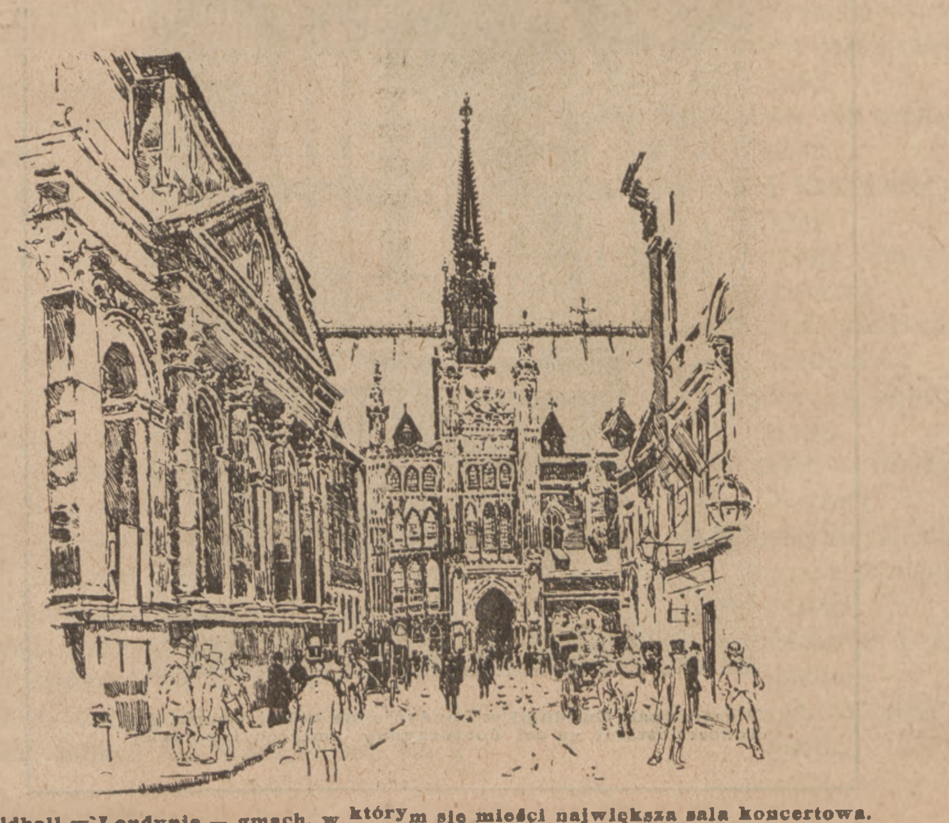
W Kaliszu urzędnik graniczny, biorąc jej marszrutę, zawołał zdziwiony:

— Co to znaczy? to nie paszport... Ach! prawda — dodał zaraz — przecież i kobiety w wojsku służyły.

Jaki był powrót w ojczyste progi domowe, jakie spotkanie z rodzicami — nie wiemy.

W r. 1836, w rok po powrocie, wyszła zamąż za wdowca Kazimierza Zakrzewskiego właściciela majętności Żaby w powiecie błońskim, a owdowiawszy w r. 1841, w lat kilka oddała rękę swoją Stanisławowi Żbikowskiemu nabywszy ową kamienicę „pod lwem“ na Starem Mieście, w której w r. 1888 straciła swego drugiego małżonka, a w r. 1891 sama się z tym światem rozstała.

Reszta życia tej iście polskiej kobiety spłynęła na wychowaniu dzieci z pierwszego małżonka i na dobroczynności. Nie tej głośnej dobroczynności prezydującej w komitetach, wciskającej się do najbiedniejszych zakątków miasta, by wyciągnąć składkę, nie tej głośnej, sławionej z imienia i nazwi-



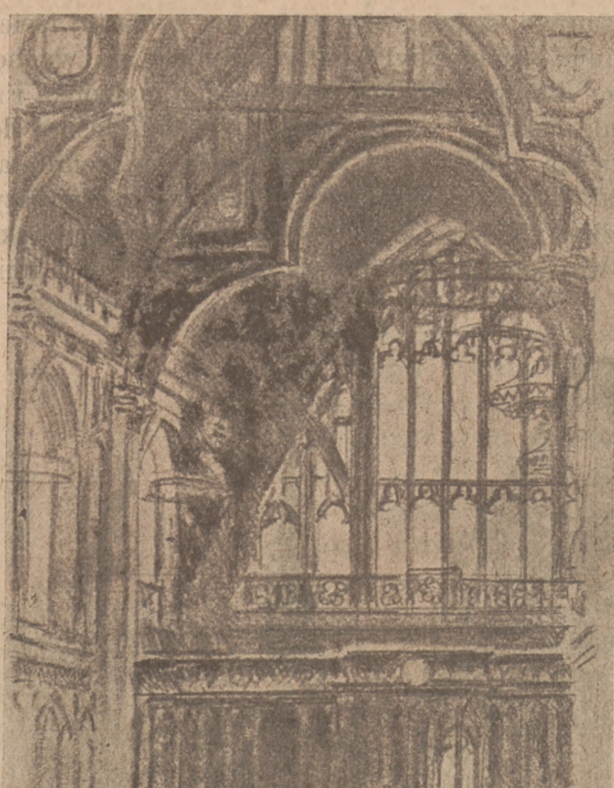
Guildhall w Londynie — gmach, w którym się mieści największa sala koncertowa.

ska po „wielkich gazetach,“ lecz dobroczynności cichej, a tak wielkiej pomimo to. Ucząca się młodzież i mieszkańcy Starego Miasta znali dobrze tę skromną dobrodziejkę, do której w potrzebie szło się jak do matki. W lat 60 po powyższych wypadkach dziejowych sędziwa staruszka, wspominając swą niezwykłą przeszłość, pisała w swym pamiętniku te słowa: „Ja sama, gdy się dziś zastanawiam, to nie pojmuję mojej odwagi. Ten entuzyazm był wyższym po nad wszystko. Ja tak kochałam Ojczyznę-Polskę, jak samego Boga. Byli też tacy, co oceniali moje poświęcenie. Dzisiejszy duch czasu nie odznacza się heroizmem, nie umie też odczuć ani wyrozumieć przeszłości...“

Jeszcze na parę godzin przedtem, nim to wielkie jej serce przestało bić na zawsze, słuchała wierszy patryotycznych na jej żądanie deklamowanych dziecięcym głosem, przez jedną z prawnuczek i, zapatrzona w świetlaną przyszłość swego kraju, cichym głosem mówiła:

— Nie smućcie się... jeszcze i nad nami słońce zajaśnieje... Ojczyzna nasza zmartwychwstanie....

*Michał Brensztejn.*



Wnętrze sali Guildhall w Londynie, na której Chopin dał koncert ostatni na cel dobroczynny emigracyi polskiej.

# Memento.

Stała przy oknie, rozplatając i zaplatając końce warkocza...

— Kocham Cię! kocham! szeptałem w maleńkie uszko.

A jutro, szepnęło mi coś na dnie duszy, będę kochał tak samo?

A pojutrze, a za tydzień, za miesięcy parę! ha... ha... zobaczymy!

Przymykam oczy, ręką przysłaniam ucho, nie chcę słyszeć nic, nic, nic, oprócz głosu miłości!

Uścisnąłem ją za rączki i wybiegłem.

* * *

Chodzę wielkiemi krokami po mojej pracowni, dyszący miłością.

— Nino! przyjdź do mnie, jutrzenko ranna rozjaśnij zmroki mojego życia! Ach! ty nie wiesz nawet, jak bezpośrednio królujesz w mojem całem jestestwie!

Kocham! kocham!

Czy to pierwszy raz! zgrzyta na dnie duszy . Ha... ha... czy to pierwszy?!...

Cicho! cicho! mówię do siebie i z nowym szałem znów biegnę do niej.

Idzie do mnie przez pokój, owinięta białą obcisłą sukienką, wyciąga na powitanie różowe paluszki.

Porywam ją, tulę do ust te moje drobniutkie skarby, pociągam ją ku sobie i szepcę cicho: Nino! Nino! Ona płonie, wyciąga do mnie wilgotne usteczka, zwiesza się cała na mojem ramieniu, jak wonna lilija biała.

Oplotłem ją sobą.

To krew! to ułuda! to przelotna chwilka! syczy na dnie mojej duszy. Co się rodzi, musi umrzeć, musi w bólach skonać. Uchodź, uchodź, zanim wicher rozczarowań i zawodów bezlitośnie połamie, podruzgoce, zeszpeci wiosenne kwiaty! Dreszcz zimny mną wstrząsa, wypuszczam ją z objęć, nawpół zemdloną.

Słania się jak płomień dogasającej lampy, podaję jej rękę, układam na sofie i zostawiam z wpół przymkniętemi powiekami.

* * *

Powracam do siebie, szumi mi w głowie, w oczach się mieni.

W pracowni zimno, a z pośród stosów książek śmieje się do mnie, zawsze tak samo, goła ludzka czaszka: sfinks, zagadka, złudzenie, drobna przelotna chwila, jeden wielki ból, jeden ogromny zawód, jedno wielkie niewysłowione cierpienie!

Deszcz olbrzymiemi kroplami dzwoni o szyby mojej pracowni; wicher świszcze złowrogo. Wyjmuję wielkie księgi mądrości, bardzo pragnę pracować, czytam:

— Dusza to nieśmiertelność, wiedza jest duszą, twórczość jest duszą miłości...

Ktoś lekko poruszył za klamkę, to wicher! Czytam: Miłość... jest...

Ktoś znowu drzwi dotyka, a olbrzymie krople dzwonią po szybach... Ktoś delikatnie nieśmiało szepce: „Otwórz...“

Otwieram. To ona, to Nina stoi przedemną, a krople deszczu spływają smugami po niej. Zrzuciła zręcznym ruchem mokrą narzutkę i stanęła, opierając ręce o poręcz fotela. Cała płonie, sznury łez gradem padają na drżącą pierś wyniosłą... Wilgotne usta szepcą ledwie dosłyszanym głosem: „kocham!“

Chwytam ją za ręce, upadam na kolana, do nóg, kraj szaty całuję, noszę jak dziecko po zimnej pracowni, objęła mnie za szyję, a usta nasze zwarły się ogniem...

Deszcz ustał, szyby dygocą jak w febrze, wiatr jęczy wszystkiemi głosami nędzy ludzkiego mrowiska. Dnieje...

Nina leży z uchylonemi ustami bledziutka jak koronki jej bielizny... Czarne rzęsy rzucają cień na blade policzki...

Ha... ha..., świdruje na dnie mojej duszy. Stos podpalono, ofiara płonie, a co jutro, pojutrze, za miesiąc, za dziesięć miesięcy?

Ha... ha... śmieje się z pośród ksiąg goła ludzka czaszka...

Wszystko co się rodzi, umrzeć musi... Jam twój byt... twój kres... twoja kochanka! to ułuda, to majak senny, to zmora męcząca...

Pójdź do mnie... uściśnij mnie... pójdź!

*Darwid.*

# Letnicy.

Po peronie podmiejskiej stacyi kolejowej przechadzała się para niedawno skojarzonych małżonków. On objął jej kibić, a ona przymilała się do niego i oboje byli szczęśliwi. Z poza chmur spoglądał na nich księżyc i zasępił się: prawdopodobnie zazdrościł im, przykrząc sobie swe nudne i nikomu niepotrzebne starokawalerstwo. Nieruchome powietrze było silnie nasycone wonią bzu i czeremchy. Gdzieś, poza torem kolejowym, odzywał się chruściel...

— Ach, jak przyjemnie, Saszo, jak przyjemnie! — mówiła żona. — Doprawdy, gdy się zastanowię, to mi się to wszystko snem wydaje. Popatrz, jak zacisznie i ponętnie wygląda ten lasek! Jak miłe są te mocne, milczące słupy telegraficzne! One, Saszo, ożywiają krajobraz i świadczą, że tam, gdzieś daleko istnieją ludzie... cywilizacya... A czy ci to nie sprawia przyjemności gdy do twego słuchu dolatuje z oddali słaby turkot nadchodzącego pociągu?

— Tak... Jakież ty masz jednak gorące ręce! Pochodzi to ztąd, że się zanadto wzruszasz... Cóż będziemy mieli dzisiaj na kolacyę?

— Chłodnik i kurczę... Jedno kurczę wystarczy na nas dwoje. Dla ciebie przywiozłam z miasta sardynki i łososia wędzonego.

Księżyc wyglądał jakby po zażyciu tabaki i schował się za chmurę. Ludzkie szczęście przypomniało mu jego samotność, oraz samotną siedzibę za lasami i dołami...

— Pociąg idzie! — rzekła Waria. — Jak to ładnie wygląda!

W dali ukazały się trzy ogniste oczy. Przed dworzec wyszedł zawiadowca przystanku. Na torze kolejowym tu i owdzie zabłysły światła sygnałowe.

— Doczekamy się odejścia pociągu i powrócimy do domu — odezwał się Sasza, ziewając. — Tak nam się tu przyjemnie żyje, moja duszko, że trudno nawet uwierzyć, aby komu tak dobrze było na świecie, jak nam obojgu!

Ciemne straszydło podpełzło cicho przed dworzec i zatrzymało się. W napół oświetlonych wagonach ukazały się senne oblicza, kapelusze, ramiona...

— Ach! ach! — dał się słyszeć okrzyk z wnętrza jednego z wagonów.

— Waria wyszła z mężem na nasze spotkanie! Oto oni! Wareńko! Wariu!

Z wagonu wyskoczyły dwie panienki i zawisły na szyi Wari. Za niemi okazała się otyła, starsza dama i wysoki, chudy jegomość ze szpakowatemi baczkami, następnie dwaj studenci, obładowani pakunkami, guwernantka, a wreszcie sędziwa babcia.

— A otóż i jesteśmy, mój drogi! — przemówił jegomość z faworytkami, ściskając dłoń Saszy. — Nie mogłeś nas się pewnie doczekać! A kto wie czyś nie zrzędził na wujaszka, że cię dotąd nie odwiedził! Kolia, Kostia, Nina, Fifa... dzieci! Całujcież kuzynka Saszę! Wszyscyśmy się stawili, i cała nasza gromadka zabawi u ciebie w gościnie przez trzy lub cztery dni. Spodziewam się, że nie zrobimy wam ambarasu? Powiedz, kochanie, bez żadnych ceremonii.

Ujrzawszy wuja z rodziną, młodzi małżonkowie przerazili się. Podczas gdy wuj mówił i całował Saszę, jemu przedstawił się następujący obraz: on i żona ustępują gościom swoich trzech pokoi, poduszek, kołder; łosoś wędzony, sardynki i chłodnik znikają w przeciągu sekundy, kuzyny zrywają kwiaty, rozlewają atrament, krzyczą, ciocia po całych dniach opowiada o swoich dolegliwościach (soliter i ssanie w dołku) oraz przypomina nieustannie, że urodziła się baronówną von Viehntich...

Sasza spogląda z nieukontentowaniem na swą młodą małżonkę i szepce jej do ucha:

— Oni do ciebie przyjechali... Ach, żeby ich licho porwało!

— Nie, oni przyjechali ciebie odwiedzić! — odpowiada żona, bledniąc i okazując mężowi złośliwe niezadowolenie. — Przecież to nie moi, lecz twoi krewni!

Zwracając się zaś do gości, odzywa się z uprzejmym uśmiechem:

— Prosimy, prosimy!

Z po za obłoków wypłynął znowu księżyc. Zdawał się uśmiechniętym i niezmiernie zadowolonym z tego: że nie posiada żadnych krewnych...

Sasza odwrócił się, aby ukryć przed gośćmi swe zagniewane i zachmurzone oblicze, potem zaś starając się nadać swemu głosowi radosny i niewymuszony dźwięk, jął ich zapraszać:

— Prosimy! Serdecznie prosimy drogich naszych gości!

*A. P. Czechow.*

Tłóm. z ros. *G. W.*

# Za morze.

Z za Gopła cichej wody jasne światła [struny
Zabłysły, pogodnego pierwsze dnia zwias- [tuny.
Pięknie było w naturze. — Na błęki- [tnej fali
Łamały się promienie, a w sinej oddali
Ostatnie mgły poranne powoli ku ziemi
Opadały, by rosy lśnić perły złotemi.
Gdzieś niegdzieś już jaskółka musnąw- [szy brzeg toni
Pomknęła za owadem w powietrznej po- [goni,
Lub lotem siwa mewa spadając z oddali
Chwytała chciwie zdobycz z pośród sre- [brnej fali.
Nad brzegiem, w krzewów cieniu stoi [dom drewniany;
Dach omszały, popsuty, pochylone ściany,
Drzwi napoły spróchiałe, w oknach szyb [nie stało....
Słońce wszystko przejrzawszy i tutaj [spojrzało
Przez okno, gdzie na nizkiem, wilgotnem [posłaniu
Leżały dwie istoty: dziecię w lat zaraniu
I starzec jak len siwy; sen ramiony [swemi
Przytulił je, czar ciszy roztoczył nad [niemi.
Starca lice spokojne powagą starości,
Raz poraz tylko chmurka na czole zagości,
Czasem westchnienie z piersi głębokie [uleci...
Niewiem, co chmurkę tworzy, co west- [chnienia nieci,
Lecz widocznie i we śnie jest dolą ludz- [kości
Niezmąconej, prawdziwej nie zaznać ra- [dości.
Od tej twarzy sędziwej bez skazy, bez [winy
Dziwnie sprzecznie odbija twarzyczka [dzieciny.
Zda się, że widok jakichś nadziemskich [piękności
Wywołał na twarz wyraz zachwytu, ra- [dości.
Tak czasem u stóp dębu z olbrzymich [korzeni
Wybujała latorośl wiosną się zieleni....
Wtenczas słońce, poranne oświeciwszy [mroki
Zajrzało w twarz dziecięcia, i spokój [głęboki
Przerwało nagle rzewne, bolesne kwi- [lenie.

To dziecię przebudzone przez słońca
[promienie
Wyrwane z snów dziedziny na podół
[cierpienia
Płacząc żegna rozwiałe dziecięce ma-
[rzenia.
Wyraz bólu wystąpił na twarzyczkę dziecka
I ciche „mamo chleba!“ szepnęły us-
teczka.
Ten smutny szept, choć cichy, lecz pe-
[łen boleści
Słabo jęknął wśród ciszy i przebrzmiał
[bez wieści.
Lecz starzec go usłyszał i w drżące ra-
[miona
Ująwszy głowę dziecka przytulił do łona,
Pieszczotą słów chcąc głodu uśmierzyć
cierpienia:
„Cyt, dziecię, zmarłej matki nie wywo-
łuj cienia,
Ona nigdy nie wróci; na cmentarnem
błoniu
Lepiej jej, niźli z nami; tam w cichem
ustroniu
Czesem słowik wśród liści piosenkę za-
[nuci,
Piękną piosnkę marzenia. Tam jej nic
nie smuci...
Szczęśliwy, kto w cmentarnej zamknąw-
[szy się ciszy
Swiatowej zawieruchy, ludzkich wrzaw
[nie słyszy!
Cyt, dziecino! Matczynej nie wzywaj
[opieki,
Ale ojciec powróci; chet gdzieś w świat
[daleki
Z lepszymi walczyć losy wybrał się za
[morze.
Cyt, dziecię! ojciec wróci, wróci prędko
może,
Bogatym wróci, będzie pod dostatkiem
[chleba,
Może jutro, lecz dzisiaj jeszcze cierpieć
[trzeba!
Skończył starzec; już więcej nie płacze
[dziecina,
Lecz jakieś zimne członki i twarzyczka
[sina,
A starzec, chcąc całować dziecka liczko
[małe,
Zobaczył, że twarz zimna, że członki
[skostniałe...

* * *

W tej chwili na dalekim Ameryki brzegu
Do portu w Nowym Yorku jakiś czło-
[wiek w biegu
Zbliżał się zadyszany, w zniszczonej
[odzieży,
Zapewne jaki nędzarz. Staje, znowu
[bieży,
Dłoń przykłada do oczu, jakoby w od-
[dali
Widział coś, co go może zgubi lub ocali,
Jedno z dwojga, lecz zwykle człowiek
[wśród cierpienia
Wierzy łacniej niż w zgubę, w gwiazdę
[ocalenia.
Dopadł do portu; właśnie z okrętów
[szeregu
Miał wkrótce jeden odbić do Europy
[brzegu,
A ostatni podróżni różnobarwną rzeszą
Cisną się na pomoście i na pokład spie-
[szą.
On wpada między tłumy; nadzieją lśnią
oczy;
Po tylu dniach rozstania wreszcie swoich
[zoczy,
Ujrzy żonę i ojca i jedyne dziecię
I piękną polską ziemię, ach nareszcie
[przecie!
Lecz cóż to? Ktoś za ramię zuchwale
[go chwyta,
To marynarz. Twarz zimna, w oczach
[wzgarda świta.
Kapitan wśród podróżnych ujrzawszy
[nędzarza,
Z rozkazem, by go cofnąć, posłał ma-
[rynarza.
Daremne łzy, błagania. Tam niema li-
tości,
Gdzie pieniądz nie zadźwięczy nieszczę-
snej ludzkości!
Już zabrzękły łańcuchy; kotwica wznie-
[siona....
Okręt płynie. — Nieszczęsny skostnia-
[łe ramiona
Raz ostatni błagalnie wyciągnął ku morzu:
„Ja mam żonę i dziecko!“ Głos przebrzmiał
[w przestworzu,
Żałosnem gdzieś na fali kołysząc się
[echem,..
A odpowiedź z okrętu była — pustym
[śmiechem....

*Jan Koraszewski.*

## Z TEATRU.

*„Na zawsze“* — dramat w 4-ch aktach Lucyana Rydla.

Dramat znanego poety krakowskiego, który wypełnił dwa ostatnie wieczory ubiegłego sezonu teatralnego, zaleca się jako widowisko niedzielne i zdaje się być szczególnie dobrym pokarmem duchowym dla młodzieży naszej jak dramaty szylerowskie dla Niemców. Przeważa w nim pierwiastek melodramatyczny, wyszlachetniony w krynicy poezyi. Nadto „Na zawsze“ posiada wszystkie cechy utworów „sympatycznych,“ które nie sprzeciwiają się w niczem uświęconemu kodeksowi pojęć, lecz zbudowane na gruncie konserwatyzmu i oportunizmu, przedstawiają świat i ludzi w świetle życzeń idealistów.

Utwór wygrany na popularnej strunie patryotycznej, nastrojony na nutę religijną i elegijną, a owiany atmosferą uczuć najidealniejszych wywiera na przeciętnego widza wpływ kojący i podniosły napawa go oportunizmem, hypnotyzuje przekonaniem, że gdyby nie wróg żylibyśmy w najczystszym ze światów. Przeniesieni w środowisko istot, jakby z jednej familii, a narysowanych w konwencyonalno-idealnych liniach wychodzimy po za ramy realnego bytu, wznosimy się w tęczową sferę gdzie mieszka ogromna prostota uczuć, a tchnienie niebios oddziaływa jaknajdobitniej na śmiertelnych. Wszystkie osoby — prócz epizodycznego kapitana żandarmeryi, o którym nic się nie da powiedzieć — są z gruntu przedziwnie dobre i dopiero pod skalpelem analityka charakter Maryi nasuwa poważne wątpliwości, traci coś z idealnego rysunku, karłowacieje, spacza się i — okazuje się ujemnym.

„Na zawsze“ przez swą fabułę, wynikający z niej morał, tudzież rysunek postaci zbliża się do melodramatu, wszelako poeta traktował swój materyał tak po poetycku, że nadał utworowi swemu charakter akademicko-klasycznego poematu. Poczytujemy „Na zawsze“ nie tyle za dramat, gdyż autor nie posiada w swej skarbnicy duchowej nerwu dramatycznego ni daru oryginalnego kreowania osób, lecz za udramatyzowany poemat, który chromą nieco wskutek dłużyzn, banalizujących i rozwadniających treść. Atoli z drugiej strony podkreślić należy stronę stylistyczną. W poezyi Rydla mieszka duch języka polskiego; nawet pomiędzy utworami literatów krakowskich, którzy pod tym względem mogą służyć za wzór, „Na zawsze“ tak jak poprzednie utwory sympatycznego poety wydaje się niezrównanie doskonałem dziełem.

„Na zawsze“ będzie niezawodnie pojawiać się często na afiszu w jesieni. Uwalnia mnie to od zapoznawania z treścią sztuki tych, którzy nie mogli uczestniczyć w serdecznem przyjęciu poematu i jej ujmującego autora. Zresztą w opowieści mej „Na zawsze“ zatraciło-by swój poetycki urok.

Nadmienię tylko, że artyści odegrali z widocznym pietyzmem utwór autora „Zaczarowanego koła.“ Najważniejsza rola spoczywała w rękach pani Orwid. Jako Marya miała ona trudne i dość niewdzięczne zadanie, nie przekraczające wszakże sił młodej artystki. W pierwszym akcie pani O. trzymała swą rolę w zbyt ponurym to-

nie tak jakby Marya przeczuwała czekające ją przejścia moralne. Nie mogę zaś przypuścić, aby kobieta żyjąca bądź co bądź zgodnie z mężem przez trzy lata, mogła nosić tak niezmiennie pogrzebowy wyraz twarzy, utrzymać się przez tak długi okres czasu w nastroju głęboko melodramatycznym. Chmura, jaka cięży nad parą małżeńską, była stanowczo za czarną, wskutek czego nie dało się stopniować przygnębienia, spotęgować go w następnych aktach. Prócz tego w grze pani O. podpadła nam pewna jednostajność giestykulacyi i przesada w posługiwaniu się powłóczystemi ruchami omdlewających, dalej wadliwości w głosie i intonacyi oraz drobne chropowatości czysto aktorsko-technicznej natury, które jednak nie zrobiły wielkiego szwanku kreacyi jednolitej i inteligentnie pojętej. P. Wiślański starał się z powodzeniem wyzbyć z wytkniętych mu dawniej wadliwości i wcielił się w nieszczęsnego Sybiraka z przejęciem. P. Andruszewski stworzył poprawnego „męża,“ a pan Czerniak iście gołębią postać księdza.

Zbytecznie nadmieniać, że Poznań wieńcami i serdecznemi oklaskami witał sympatycznego i wybitnego krakowskiego gościa — tem serdeczniej, że nasi poeci, niechętnie zapuszczając się w kraj pickelhauby i hakatyzmu, omijają gród wielkopolski.

*Roman Rola.*



# Wiadomości.

***— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

***Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“***

— **Folwark Łowęcin** pod Swarzędzem, około 300 mórg znakomitej ziemi z pięknem zabudowaniem przeszedł z rąk pana Stanisława Palacza na własność domu bankowo-komisowego *Drwęski & Langner* w Poznaniu.

— **Folwark Łowęcin** pod Swarzędzem co dopiero nabyty przez dom bankowo-komisowy *Drwęski & Langner* w Poznaniu od p. Stanisława Palacza, — już znów sprzedany dalej. Nowonabywcą Łowęcina jest bezpośredni sąsiad tegoż majątku, p. Stanisław Frąckowiak z Gortatowa, który całą cenę kupna spłacił gotówką aż do landszafty. Przewłaszczenie już nastąpiło.

Nowemu nabywcy szczęść Boże!

— **Zabawa**, urządzona przez artystów naszej sceny w drugie święto Zielonych Świąt w parku Wiktoryi, miała mianowicie pod względem kasowym ogromne powodzenie. Tłumy wielkie publiczności różnych stanów zaległy piękny, sielski park i bawiły się w zgodnej harmonii. Do poloneza, prowadzonego przez artystę dramatycznego p. Stradiota z zasłużoną weteranką naszej sceny, panią Królikowską, stanęło kilkaset par. Tańce i produkcye artystów oklaskiwano hucznie, szkoda tylko wielka, że urządzono przedstawienie bardzo niestósownie w kolonadzie, a nie na boisku czyli miejscu przeznaczonem do tańców. W każdym razie zabawa udała się znakomicie, a co najgłówniejsze, artystom uśmiechnęła się fortuna na odlocie.

— **Kopert rządowych** do wyborów ma każda gmina otrzymać tylko tyle, ile wyborców ma w swym spisie. Należy z tego powodu być bardzo oględnym i kopert nie poplamić, — gdyż w danych przypadkach, gdzie panuje stronniczość, mogłyby głosy być uznane za nieważne!

— **Żłóbki.** Zabawa latowa, połączona z grą fantową na *„dochód Żłóbków“* odbędzie się w niedzielę d. 7 czerwca w ogrodzie p. Klundra na Wildzie.

Przystanek kolei elektrycznej jest tuż przed ogrodem. Początek o godz 4-tej. Wstępne od osoby 50 fen. Dzieci niżej lat 12 płacą połowę.

Żywimy nadzieję, że Szanowna Publiczność jak zwykle tak i tym razem licznem przybyciem poprze nasze zabiegi.

*Komisya Żłóbkowa.*

— **Stały chór żeński** utworzył się pod protekcyą Koła śpiewackiego polskiego w Poznaniu. Na razie zapisało się 21 pań na członków. Do zarządu obrano: pannę Wł. Przybylską przewodniczącą, pannę A. Michałowską zastępczynią, pannę Wleklińską sekretarką, pannę Brzozowską skarbniczką. Lekcye śpiewu odbywają się co środę i piątek o godz. 8 wieczorem

w Domu Katolickim. Członkami mogą być panny, które ukończyły 16 lat. Składki są dowolne. Zgłoszenia piśmienne lub ustne przyjmuje na lekcyach sekretarka p. Wleklińska.

— **Baczność!** *Tow. Gimn „Sokół“ w Poznaniu* urządza w niedzielę, 7-go czerwca r. b. *igrzyska sokole* w parku Wiktoryi przy drodze dębińskiej. Program tychże bardzo urozmaicony, celujący wyborem zabaw i widowisk, zadowolni każdego. Do uświetnienia igrzysk przyczynią się niemało bardzo zajmujące gry ludowe, wyścigi i wreszcie nowe ćwiczenia tak obu oddziałów męzkich jakoteż i oddziału pań. Przeróżne niespodzianki. Czysty zysk przeznaczony na fundusz budowy sali gimnastycznej.

— **Kolonia** nad Renem. Żołnierz odsługujący wojskowość przysłał list do rodziców niemiecki. On Polak, rodzice Polacy, ale w liście tym uniewinia się, że surowo mu zakazano pisać listy po polsku.

— **Berlin.** Wszystkie pisma wolnomyślne, niepodległe sferom rządowym, krytykują fakt, że w ostatnich 3 miesiącach 44 jenerałów ustąpiło ze służby. Naturalnie pensye będą pobierali, a w miejsce ich wstąpi nowych 44 także z pensyami. W Ahrweiler umarł biskup wojskowy ks. dr. Assmann.

### *Zmarli.*

† **Sp. Kazimierz Kropaczewski** dnia 25-go zm. w Poznaniu, przeżywszy 27 lat.

† **Sp Teodozya z Gadomskich Kosicka** dnia 24-go zm. w Poznaniu.

† **Sp. Teofil Daszyński** dnia 25-go zm. w 82-gim roku życia w Golubiu (Pr. Zach.)

## Ruch w Towarzystwach.

— **W interesie Związku Towarzystw polsko-katolickich Robotników w Niemczech,** proszę Szanowną Redakcyą o umieszczenie następujących słów w łamach swego pisma:

Szanowni Rodacy !*)

Z uznaniem trzeba przyznać delegatom Związku ich dobrą wolę, jeżeli się tak rączo wzięli do poprawienia ustaw, aby się tylko przysłużyć dobrej sprawie. Bo któż się ośmieli nazwać założenie Związku polsko-katol. robotniczego sprawą złą?

Można było tak nazwać założenie Związku, gdyby już taka polska organizacya gdzieś istniała, a tu by ją tylko dla przeszkodzenia rozkwitu pierwszej założono. Tak jednakowoż nie jest, gdyż podobnej organizacyi społeczeństwo nasze nie miało, a która bardzo wielką szczerbę u nas robiła, bo u innych narodów podobne organizacye już dziś wydają najświetniejsze owoce, gdy u nas dopiero zaczynają się przyjmować. I dlatego Szanowne Towarzystwa, Szanowni Przewodniczący Towarzystw a mianowicie my wygnańcy, my tułacze na obcej ziemi, pokażmy światu, że choć nas Europa wyparła przed 109 laty z pomiędzy siebie, a dziś obce żywioły nas otaczające nie szczędzą intryg, podłości i talarów, aby nas światu przedstawić za niedołęgów, i aby nas wynarodowić, nie stajemy się pognojem dla obcych narodów, ale kroczymy krok w krok za niemi i przez to im wytykamy ich fatalny uczynek, którego dokonali na 20ścia milionowym narodzie, gdy go skazywali na śmierć.

Obowiązek ten wypełnimy, gdy się dobrze zorganizujemy, bo organizacya nam nadaje cechę narodu świadomego. A jak się u nas pod tym względem dzieje? Pomimo iż Związek robi dość pocieszające postępy, nie robi ich pewno tak jakby powinien. Polega to na naszej narodowej wadzie, gdyż wiadomo to nam jest powszechnie, że gdy jeden wódz się bił w boju, to drugi nań patrzał i zawiścił mu jego sławy. Tak samo i u nas się dzieje; zawiścimy jeden drugiemu pracy dla dobra społecznego, aby nie był przedstawiony jako dobry Polak, nie ufamy we własne siły, wolimy żądać pomocy od obcych aniżeli od swoich, wolimy nieść nasz grosz do związków niemieckich aniżeli do polskich.

Szanowni Rodacy, a mianowicie wy, którzy swój grosz zanosicie związkom niemieckim, czy wy tu nie widzicie krzywdy, jaka wam się dzieje? Czy nie widzicie, żeście tylko dobrzy do opłacenia kosztów festynów niemieckich? Czas, abyście się upamiętali i poparli sprawę narodową przez opuszczenie nieswojej sprawy a wstąpienie do Związku Polskiego.

W tem powinna się Związkowi Tow. polsko-kat. Robotników prasa polska jak najbardziej przysłużyć, przez poparcie myśli zorganizowania naszych Tow., bo przez to nasze Tow. zyskają na znaczeniu i potędze, powtóre przez krytykowanie takich jednostek, które się starają tamować rozwój Związku przez niemądre wypowiadanie swych zdań na posiedzeniach Tow., do których należą.

Bracia Rodacy! a mianowicie wy z okolic Bitterfeldu i Tangermünde, porzućcie wszystko co obce, a łączcie się tam gdzie krew z krwi, a kość z kości waszych! Starajcie się wszelkiemi siłami poprzeć Związek nasz przez wasze przystąpienie, tak iżby na pierwszym sejmiku nie brakło ani jednego Tow., które ma prawo być przyjęte; niech ten pierwszy zjazd polskiej siły roboczej pokaże naszym braciom w rodzinnych stronach, żeśmy są godni nosić imię Polaka!

Z polecenia *Teodor Bloch,*
Berlin, Barnim Str. 11.

*) Odezwę powyższą podajemy z powodu braku miejsca w skróceniu. — Przyp. Red.

— **Tow. Młodzieży Kupieckiej** w Kościanie urządza w niedzielę dnia 7. bm. w ogrodzie hotelu Wiktoryi zabawę latową. Na programie są umieszczone: od godz. 4-tej po poł. wielki koncert, gra fantowa, różne gry towarzyskie i gry o premie, puszczanie balonów, odpalenie sztucznych ogni, polonez po ogrodzie i zabawa na sali. Zachęcamy do licznego udziału.

## Od Redakcyi.

*Panu L. M. pod Gelzenkirchen.* Artykulik odebraliśmy już po wydrukowaniu numeru świątecznego, dlatego kamieścić go nie mogliśmy. Nadmieniamy jednocześnie, że w sprawie tej masz pan poniekąd błędne informacye. O krótką, treściwą korespondencyą o *stosunkach tamtejszych* prosimy.

*Panu B. w miejscu.* — Zamieszczamy notatkę, którą nam wpierw już nadesłano.

*Jednemu z wielu w Buku.* — Notatkę zamieścimy chętnie, jeżeli się Pan pod nią podpiszesz. Wiadomości nadesłanych nam bez podpisu lub też pod pseudonimem nie zamieszczamy.

*Panu B. w Lesznie.* — Notatka o wiecu świątecznym doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru na dzień 31-go z. m., dlatego nie mogliśmy jej zamieścić.

*Panu A B. w A.* — Poinformuje Pana księgarnia „Chrzanowski i Kucner“ w Poznaniu, św. Marcin. Pisz Pan o cennik. O krótką, treściwą korespondencyą o tamtejszych stosunkach prosimy bardzo.

*Panu W. M. w miejscu.* — Wiersz nadesłany tylko pod literami“ W. M.“; zresztą gdybyśmy nawet wiedzieli nazwisko, nie zamieścilibyśmy, gdyż wiersz taki sam był już drukowany w dawniejszych rocznikach „Pracy.“ Wiersz „Niezgoda“ nie nadaje się do druku wcale.

*St. T. 75.* — Sprawa ta zbyt zawikłana, trudno tu radzić, najlepiej będzie, jeżeli się Pan udasz do prawnika biegłego.

*Do Jarosławia.* — Dziękujemy za łaskawą pamięć. Brudne te sprawy radzimy poruszyć w organach miejscowych.

*Panu I. J. D. w Pleszewie.* — Odpowiedź pod znakiem „I. D. w P.“ w ostatnim numerze 22-im „Pracy“ dotyczyła się Pana. Pismo wydziału techniczno-maszynowego w Galicyi nie wychodzi.

*Pana Józefa Ogiermana, księgarza* prosimy o łaskawe podanie miejsca zamieszkania, gdyż w liście miejscowość nie podana, a koperta już zniszczona.

## Wesoły kącik.

*Bez współzawodnictwa.*

— Szczęśliwy ten Iks!

— Dlaczego?

— Jest to człowiek poprostu zakochany w sobie.

— Dlaczegoż nazywasz go szczęśliwym?

— Bo przez całe swe życie pod tym względem nie znajdzie współzawodników.

*Omyłka.*

— Przedstaw sobie pani, dzisiejszej nocy w nieobecności mego męża wlazł złodziej do nas przez okno.

— I pani się nie zlękła?

— Gdzież tam, w ciemności sądziłam, iż to mąż mój z winta dopiero powraca i dałam mu bolesną nauczkę...

# Dział kobiecy.



### Kobieta w Turcyi.

Wątpliwości nie ulega, że w ostatnich czasach wiele kobiet tureckich zdobyło wysoki stopień cywilizacyi i kultury. I tak: najmłodsza córka Abdul Hamida, Leila, jest wysoce muzyknlną; jedna z córek Izmaiła paszy tłómaczy francuskie, włoskie i niemieckie poezye na język turecki. Pani H. Pascha, wnuczka Fuada, jest damą wykształconą i prowadzi dom po europejsku; zamiast „haremlików“ i „selemlików“ ma urządzone buduary i salony, oraz pokój do nauki córek; w domu ukazuje się swym gościom bez zasłony, gdy raz jednak usiadła tak na balkonie od ulicy, przybył zaraz Mollah z poleceniem, aby się cofnęła w głąb mieszkania, albo też twarz zakryła. Jedną ze swych córek kazała uczyć konnej jazdy, ale gdy panienka wyjechała na ulice miasta, wśród prawowiernych muzułmanów powstało takie zgorszenie, że musiała zawracać i teraz używa przejażdżki w obrębie swego ogrodu jedynie.

Cywilizowane Turczynki biadają głównie nad tem, że im nie wolno uczęszczać do teatrów i na koncerta. Wyjazd z państwa ottomańskiego jest im wzbroniony, lecz Egipt za jego część składową się liczy i tam jedynie Turczynki zażywają pewnej swobody.

W Kairze mogą bywać na wszelkich widowiskach, nawet na wyścigach. Księżna Nazali prowadzi tu życie tak światowe, że nawet wydaje u siebie obiady dla pań i panów europejskich. Gdy jednak podczas pobytu nad Bosforem pozwoliła sobie zaprosić na obiad sir A. z małżonką, otrzymała za to srogą naganę od sułtana.

Jeśli emancypacya przenika do warstw wyższych, to w zamian miliony Turczynek nie myślą bynajmniej o wprowadzeniu postępu i żyją tak, jak przed wiekami.

Tylko co do mody wyzwalają się ze starych obyczajów. Gdy przed laty kilku sułtan wydał rozporządzenie, aby wszystkie Turczynki w dnie uroczyste nosiły staroświeckie „yaszmaki“ (zasłony) i „feridżje“ (płaszcze), stosowano się do tego rozkazu przez trzy dni, a na czwarty i „yaszmak“ i „feridżje“ w kąt poszły.

### *Pochodzenie i ojczyzna słynnego uwodziciela kobiet.*

Dotychczas przypuszczano, że wzorem, do typu Don Juana, na którego przygodach osnuło tylu poetów i kompozytorów swoje dzieła, jest hiszpański szlachcic Miguel Marana, słynny w XVII wieku uwodziciel kobiet. Atoli według najnowszych badań, pochodziłby Don Juan z Korsyki. Istnieje mianowicie na Korsyce legenda o Don Juanie, do której oprócz znanych szczegółów, zawartych w legendzie hiszpańskiej, przybywają różne nowe epizody.

I tak naprzykład opowiada owa legenda, że skoro Don Juan, znudzony przelotnemi miłostkami, dowiedział się, iż jego ojciec zostawił na Korsycę naturalną córkę, natychmiast postanowił ją uwieść. Udał się tedy do Montemaggiore na Korsyce i rzeczywiście rozkochał w sobie ową Korsykankę; kiedy jej jednak z całym cynizmem wyjawił, że jest jej bratem, nieszczęśliwa ofiara jego zapędów miłosnych odwróciła się odeń z oburzeniem, a uwodziciel musiał uciekać, aby uniknąć zemsty Korsykanów.

Siostra Don Juana nosi w podaniu korsykańskiem nazwisko rodowe „Anfrino.“ Tak samo jednak nazywa się w podaniu hiszpańskiem matka Miguela Marany; widocznie więc między obu podaniami zachodzi jakiś związek. Okoliczność ta pobudziła jednego z badaczy literackich do nowych poszukiwań, których rezultatem jest to, że ojciec i matka Don Juana należeli do słynnej z okrucieństw korsykańskiej rodziny Cinarchesi, którą rząd genueński skazał w końcu na wygnanie.

Jeden z potomków tej rodziny osiadł w Hiszpanii i przybrał sobie po żonie Hiszpance nazwisko Marana. W kilkadziesiąt lat później jeden z Maranów ożenił się z Korsykanką Girolamą Anfrino, a z małżeństwa tego urodził się w r. 1626 Miguel Marana, bohater legendy.

Fakta te odkryte dopiero niedawno, zgadzają się zresztą w zupełności z dokumentami dotyczącemi Don Juana, a złożonemi w dwóch tomach w bibliotece narodowej w Paryżu, dokąd je z watykańskiej biblioteki zabrał ziomek Don Juana, Napoleon I.

Dodać przytem warto, że dokumenta owe zabrano swego czasu z okazyi bardzo szczególnej: Z wielu stron mianowicie żądano kanonizowania Don Juana, który po młodości spędzonej na rozpuście, oddał się niezwykle surowej pokucie i umarł jako człowiek bardzo bogobojny i pobożny. W poczet świętych, jak wiadomo, nie przeszedł, natomiast jego awanturnicze przygody w inny sposób przysporzyły mu nieśmiertelności,

### *Klub kobiecy,*

którego celem jest zapobiegać zmniejszaniu się rodu ludzkiego — specyalnie w Ameryce, zawiązał się niedawno w New-Yorku, a na pierwszem zaraz organizacyjnem zebraniu „Mothers Birthday Club of Ameryka“ (taką klub nosi nazwę) uchwaliły założycielki obdarzać każdą matkę po narodzeniu dziecka sumą od 200 do 600 dolarów. Oprócz wpisowego 5 dolarów i kwartalnej wkładki 1 dolara, będą członkinie klubu obowiązane płacić pewną sumę za każdym razem, kiedy narodzi się dziecko kobiecie przyjętej do stowarzyszenia. Wysokość tej ostatniej opłaty oznaczoną będzie na początku każdego miesiąca.



# Dział rolniczo-ekonomiczny.

**Bank włościański**

odbył dnia 20 z. m. doroczne walne zebranie. Z nadesłanego nam sprawozdania dyrekcyi wyjmujemy następujące dane:

„Z rachunku zysków i strat odstawiamy procenty kapitałów lokacyjnych niewypłacone, rezerwujemy procenty i prowizye antycypowane, umarzamy koszta handlowe, a odpisujemy z rachunku weksli, debitorów, nieruchomości i ruchomości około 84,000 marek, tak że pozostaje nam czysty zysk z roku 1902 m. 46,666,66, z którego przy podziale zastosowanym do przepisów ustaw naszych i prawa akcyjnego przeznaczyć wypada

1. na fundusz rezerwowy mk. 4 666 66
2. na dywidendę mk. 24 000 —
3. na tantyemę mk. 6 000,—
4. na superdywidendę mk. 12 000,—

Tym sposobem przypadnie na akcyę ogólna dywidenda z roku 1902 mk. 18 czyli 6%

Pobieżny pogląd na obroty pojedyńczych kont bankowych wystarcza, aby stwierdzić, że wszystko prawie idzie torem dawno wypróbowanym a małe zmiany tłomaczyć należy innem ukształtowaniem się stosunków na polu odnośnego konta.

Nie mogąc udzielać kredydu hipotecznego w szerszych rozmiarach ograniczaliśmy się na przyjmowaniu małych hipotek włościańskich albo miejskich, dając interesentom sposobność spłacania ich ratami dowolnemi. Dogodność ta jest zawsze pożądana i jedna nam licznych klientów.

Parcelacyi nie da się traktować w naszych stosunkach inaczej, jak przejmowaniem hipotek umieszczonych na parcelach, jako reszty cen kupna a spłacać się mających ratami rozłożonemi na czas dłuższy. Doświadczenie uczy, że hipoteki takie co do pewności, nie potrzebują być oceniane wedle surowych zasad dawniejszych tak długo, dopókąd nie zmniejszy się popyt na parcele dla wieśniaków wypieranych przez pruską komisyę kolonizacyjną z ziemi ojczystej a płacących nawet bardzo wygórowane ceny, aby się tylko okupić pomiędzy swoimi.

Pośrednictwem w zaciąganiu pożyczek hipotecznych mało się zajmujemy wobec konkurencyi stworzonej przez Ziemstwo Kredytowe i agentów banków hipotecznych.

Kredytu osobistego udzielamy w rzadkich tylko przypadkach przy absolutnej prawie i notorycznej pewności klienta. Akcepty wekslowe przyjmowaliśmy zwyczajnie tylko przy odpowiedniej kaucyi hipotecznej. Dyskontowanie weksli ograniczone było na znane dokładnie osobistości i firmy handlowe. Weksle wyraźnego pochodzenia kupieckiego albo przemysłowego rzadko nam przedkładano, a inne odrzucaliśmy zwyczajnie z powodu trudności zaciągania dostatecznych i prawdziwie pewnych informacyi.“

Walne zebranie zgodziło się na podział zysków, proponowany przez dyrekcyę, z którego wynika, że Bank wypłaci akcyonaryuszom 6 proc. dywidendy.

Dr. A. Mieczkowski, dyrektor „Westy“, odczytał sprawozdanie komisyi rewizyjnej, a wniosek o udzielenie pokwitowania dyrekcyi i radzie nadzorczej, przyjęło walne zebranie jednogłośnie.

W miejsce ustępujących członków rady nadzorczej, pp. dr Jerzykowskiego, mec. Cichowicza i dr. Celichowskiego, wybrani zostali ci sami panowie na nowy szereg lat 5 i to wszystkiemi 83 głosami, jakiemi rozporządzało zebranie.

Na członków komisyi rewizyjnej wybrani zostali także ponownie pp. dr. Mieczkowski, St. Wegner i W. Moszczeński.

Na tem wyczerpany został porządek dzienny.

---

**Fabryka narzędzi rolniczych**

*Cegielskiego* w Poznaniu tak dalece wydoskonaliła fabrykacyę własną, że wyroby jej dzisaj już zaszczytne zajmują miejsce na targu wszechświatowym w konkurencyi, zwłaszcza z fabrykami niemieckiemi. Eksport jej do Królestwa Polskiego, t. zw. krajów zabranych i Rosyi, oraz do Galicyi z dniem każdym się wzmaga, mianowicie w pługach dwuskibowych „Rekord“, bronach, dołownikach, torfiarkach, manężach i młocarniach manężowych, oraz sieczkarniach, a w ostatnich dniach aż na Ukrainę i do gubernii chersońskiej, gdzie dotąd panował wszechwładnie przemysł niemiecki i angielski, wychodziły ładunki wagonowe. Dotychczas wysłano w tym roku 15 wagonów pługów i innych narzędzi — dla samego humańsko-lipowieckiego stowarzyszenia rolniczego w Humaniu (gub. kijowskiej), wysłano już czwarty wagon — a pługów dwuskibowych sprzedała fabryka Cegielskiego w tegorocznym sezonie blisko 2000 sztuk wobec niespełna połowy z roku zeszłego. Najlepszy to z pewnością dowód, że jej wyroby są pierwszorzędnymi i pod każdym względem na poparcie nietylko z tytułu polskości zasługują.

---

## Notatki ekonomiczne.

— **Konkurencya wodna.** Ładunki towarów zaatlantyckich, sprowadzone do Królestwa Polskiego przez Gdańsk, mają być nadal wyładowywane w Hamburgu i spławiane kanałami niemieckiemi przez Bydgoszcz do Wisły, a następnie do Królestwa. Manipulacya ta ma podobno skrócić czas dostawy i znacznie obniżyć przewóz wodny towarów, zyskując przytem i na morskiej przestrzeni z Hamburga do Gdańska. Dotychczasowa opłata z Gdańska do Warszawy wynosiła około 2 marek za 100 kilo. — w przyszłości konkurencya przewozowa obiecuje pobierać po 1 m. 20 f. za 100 k. Berliniarze gdańscy przygnębieni są rywalizacyą Hamburczyków, którzy rozporządzają kapitałami i odpowiednio zbudowaną flotą. Ciężkie statki holownicze i berlinki, utrzymujące dotychczas komunikacyę wiślaną z Gdańskiem, nie nadają się do żeglugi po płytkich wodach kanałów niemieckich. Konkurencya zadaje dotkliwy cios szyprom-Polakom, jacy głównie zajmowali się przewozem towarów z Gdańska do Królestwa.

— **Dachówka polska w Afryce.** Warszawska fabryka dachówek z kamienia drzewnego S. Wiesiołowskiego i Sp., sprzedała w roku zeszłym 5.000 sztuk dachówek do Kapsztadu w Afryce. Wyrób ten okazał się tak odpowiadającym klimatowi tamtejszemu, że obecnie nabyto znów do tego samego miasta 30.000 sztuk takiej dachówki do pokrycia nowo budującej się hali koncertowej w Kapsztadzie. Wobec obecnego zwrotu w budownictwie do krycia dachów dachówką, ponieważ blachę cynkową zaniechano już na Zachodzie, jako niezabezpieczającą dostatecznie od pożaru, przemysł ten ma nowe widoki szerszego zbytu. Możliwość tak dalekiej i kosztownej przesyłki do Afryki osiągnąć można było dzięki lekkości dachówek z kamienia drzewnego, metr. kw. bowiem na pokrycie waży 16 kilogramów.

# Dodatek Humorystyczny.

## *Kędy spojrzeć.*

Kędy spojrzeć, — w całym świecie
Panem śmierć matula,
Bieda, nędza, — męczy, gniecie,
A lud Boży hula.

Narzekania — wszędzie długi,
Stan równa się z stanem,
Trudno znaleść dzisiaj długi,
Każdy chce być panem.

Żona radzcy, — szewca zgoła,
Każda żyje z tonem,
Na złe czasy chociaż woła,
Zamiata ogonem.

Ciężki chleb dziś — hołysz żeni,
Bo cóż komu szkodzi?
Co posiada nikt nie ceni,
Bieda nędzę rodzi.

Zima mroźna — głód doskwiera,
Dziatwa ledwie dyszy,
Matka na bal się wybiera,
Ojciec towarzyszy.

Prawość, zacność — choć się chwali,
Dawno leżą w grobie,
Myślą dzisiaj — wielcy mali,
Li tylko o sobie.

Pisać, mówić, wiele — wiele,
Niema siostry, brata,
Krótko rzeknąć można śmiele,
Koniec — koniec świata!!!

## Po odczycie.

A.: Dużo miałeś słuchaczy na swoim odczycie?

B.: Dosyć... było dwóch mężczyzn, trzy kobiety i chłopiec. Chłopiec, jak się później dowiedziałem, zamiatał salę. Dwaj mężczyźni weszli, aby się schronić przed deszczem, ale co do kobiet to jestem pewny, iż przyszły, żeby mnie usłyszeć, bo sam im posłałem bilety.

## *MAŁY FILOZOF.*

Matka do ośmioletniego Józia, który na wszelkie nauki moralne pozostawać zwykł głuchym:

— Józiu, Józiu, jak ty mnie martwisz! Wstyd mi tylko przynosisz! A ja wczoraj w twojem imieniu tak solennie obiecałam ojcu, że się poprawisz!

A na to ośmioletni filozof:

— Moja mamusiu, cóżem ja winien, że obiecujesz, czego nie możesz dotrzymać?

## *Bez ceremonii.*

Ojciec: Ho! ho! jakie cygara; mnie na takie zbytki nie stać!

Syn: Proszę ojca tylko bez ceremonii... niech sobie ojciec wyładuje cygarniczkę.

## **Marzenie Goga.**

Kiedy wieczorem — w kwiecistym maju,
Chrabąszcze brzęczą — ptaszki śpiewają
Bez grosza siedzę w altanie,
Oczyma liczę gwiazdy w błękicie,
Myślami badam co się tandecie
I lombardowi dostanie.

O czemu, czemu, Boże wszechwładny
Jednemu dajesz — żywot poradny,
W karecie jeździ nie chodzi...
Drugi mozolny — żywot swój wiedzie, —
W codziennej pracy, o głodzie, biedzie,
Różnica gdzie się narodzi.

Wszakże o Boże — Tyś miłosierny!
Tworów Twych tyle świat tak niezmierny
A życie płynie tak żwawo!
Dajże choć dla mnie — na krótkie chwile,
Z świata dostatków chociaż o tyle,
By frak wykupić z zastawu!

Wszakże ty jesteś wszystko-wiedzący!
Wiesz, żem spragniony, wiesz, żem je-
[dzący,
A do roboty niezdara!
Chciałbym pracować, lecz chęć nie nada!
Żyć tylko umiem, — rodzinna wada...
W kieszeni nie ma krajcara!

Nie pragnę wiele! silną mam wiarę!
Na każdą porę — ubiorów parę,
Blacików kupkę w potrzebie,
Majówek kilka — wycieczek w lecie,
Balików w zimie! a na tym świecie,
Żyć będę, marzyć, jak w niebie!

## Pomiędzy przyjaciółkami.

Panna Helena: Nie wypieraj się moja Maryniu. Tak było ciemno, że nie mogłam rozpoznać kto to był, ale widziałam na własne oczy, jak cię jakiś młody człowiek całował.

Panna Marya: Nie rozumiem tej surowości z twej strony, kiedy nieraz widzę, jak cię Jerzy całuje.

Panna Helena (narzeczona Jerzego): Tak; ale nie pozwalam się nikomu innemu całować tylko Jerzemu.

Panna Marya: To też nikt inny mnie nie całował, tylko Jerzy.

## *Faraon narwany.*

W Tebach był ci raz Faraon...
Risum teneatis ludzie!
Grał i śpiewał i rysował,
Pokazywał sztuki w budzie.

Podróżował po jarmarkach,
I wyprawiał skoczne pląsy,
Nosząc hełm z ogonkiem mysim
I zawzięcie kręcąc wąsy.

Nadewszystko ten ci komik
Ani spałby ani jadał,
Jeno przy okazji wszelkiej
Gadałby wciąż — gadał, gadał.

Czy na rynku czyli w knajpie
Język chwilę nie ustanie:
Będzie gadał, gadał, gadał,
Skoro wziął raz na gadanie.

A pomysły miał zabawne:
Skórę weźmie lwa na bary,
Już mu zaraz się wydaje,
Że zeń groźny lew i stary.

To przywdzieje znów miednicę,
Gdy komiczna wre ochota,
I gadając bez ustanku
Rolę gra tak Don Kiszota.

W pierwszych chwilach słuchacz, jedząc
Pieczeń z kaszą i mizerją,
Owe gadki Faraona
Brał poważnie i na serjo.

Lecz gdy gadać nie przestawał,
A co powie — sensu mało,
Wnet słuchanie się znudziło!
Bzdurstw też słuchaćby się chciało?

Faraon nie traci miny,
Lecz, że pycha weń się wkradła,
Wkrótce, z braku już galerji,
Gadać będzie do zwierciadła.

## *Szczyt uprzejmości.*

Jegomość, przyłapany przez bandytę w lesie odludnym:

— Najmocniej pana przepraszam, że nie mam grosza przy duszy, ale za to obiecuję, że odtąd polecać będę zamożnym moim znajomym samotne spacery w tym lesie.



# Dział powieściowy.



## MĘCZENNICA W KORONIE.

**POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.**

65) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— O fałszowanie pieniędzy, a przynajmniej o wydawanie fałszywych banknotów i złota.

— I zamiast prawdziwej Diany Bassano aresztowano fałszywą!

— Tak!

— Józefina jest więc obecnie już na Sybirze.....

— Ach, serce mi pęka, gdy myślę o tem!

— A gdyby się teraz prawdziwa Diana Bassano zjawiła w Petersburgu i wyznała prawdę na sądzie?

— W takim razie musiałaby córka moja być uwolnioną! — krzyknęła lady Wiktorya.

— Widzisz pani, zatem, że przedewszystkiem trzeba nam właściwej Diany Bassano szukać. Albo żywej, albo udowodnić policyi rosyjskiej, że ona tam a tam umarła!

— Ach, gdyby to było możliwem! Cały majątek oddałabym jej chętnie!

— Obawiam się jednak, że ona już nie żyje. Ja sam leczyłem ją, ciężko chorą, w szpitalu w Nizzy, i tam oddała mi ona swoje papiery, które Józefinie tyle nieszczęścia przyniosły! Śmiertelnie chora Diana uciekła w nocy — nikt jej potem już nie widział, prawdopodobnie więc rzuciła się w morze. Ale nie jest niemożliwem, że ją kto znalazł, i zabrał do jednej z sąsiednich wsi! W takim razie żyłaby jeszcze i możebym ją nakłonił do wyznania prawdy i ocalenia niewinnej Józefiny!

— Ale gdzie jej szukać? Chociażbym odbyła podróż naokoło świata, to jeszcze jej nie znajdę, nie wiedząc pod jakiem żyje nazwiskiem i gdzie mieszka!

— To prawda, ale od czego gazety? I od czego pieniądze? Daj mi pani pół miliona franków, a ja zobowiązuję się — albo dostawić żywą Dianę de Bassano, albo odszukać jej grób! Jutro będzie anons w gazetach całego świata, szukający Diany Bassano, a rozgłaszający przytem historyą naszej biednej Józefiny. Zobaczymy, co przez to osiągniemy!

Lady Wiktorya wyjęła z stolika przy łóżku małą podłużną książeczkę i drżącą ręką wypełniła czek na pół miliona franków.

— Weź pan, — rzekła, podając go doktorowi, — i gdy wydasz pieniądze, przyjdź po nowe!

— Ja pani napisałem recept na uspokojenie nerwów, — uśmiechnął się Tritoni, — pani napisałaś recept na życie i szczęście twej córki! Jest to najkosztowniejszy recept, jaki kiedykolwiek widziałem!

### ROZDZIAŁ CIV.

**Wierni przyjaciele.**

Stanisław i Maksymilian bawili się znakomicie w zamku starego hrabiego Kosińskiego w Południowej Francyi. Serdeczna przyjaźń łączyła tych dwóch szlachetnych ludzi. Poznali się oni i pokochali na polu bitwy w Bośnii, i nie rozstawali się od tego czasu ani na chwilę, a znajomi nazwali ich żartem Orestem i Pyladesem. Stanisław zamierzał za kilka miesięcy wyjechać do Wiednia, miał bowiem nadzieję, że cesarzowa Elżbieta nie odmówi teraz jego prośbie o rękę Nelly, chwilowo zaś oddawał się z całym zapałem młodości rozrywkom wiejskim, mianowicie polowaniu.

Zamek stryja leżał koło miasta Grenoble, w pięknej, lesistej okolicy.

Stary hrabia był kawalerem i wielkim nieprzyjacielem kobiet.

— Widzisz, — mówił do Stanisława, — nie byłbym dziś ani o pół tak bogatym, gdybym się był ożenił! Żyję jak chcę, wychodzę i wracam, kiedy mi się podoba, i nie potrzebuję znosić w domu żadnych kaprysów. Jestem niezależny i wolny, i to właśnie największe szczęście!

Kochał on bardzo Stanisława i nie taił się wcale z tem, że mu zapisze cały swój majątek.

Maksymilian pozyskał też od razu jego sympatyą i tak czuli się wszyscy zadowoleni z wzajemnego towarzystwa. Każdy zajmował się tem, co najwięcej lubił, polowaniem, rybołówstwem, lub jeżdżeniem konno po pięknej, malowniczej okolicy.

Hrabia nie lubił żadnego przymusu i z góry im to oświadczył, dodając jednak, że dwie wizyty muszą z nim oddać w sąsiedztwie.

— I to u kogo? — zapytał Stanisław.

— Najpierw u naszego nauczyciela, bardzo miłego i światłego człowieka, który świetnie jeździ konno, a strzela i poluje jak sam Nimrod! Więc zaraz jutro do pana Bernarda!

— Zgoda, — zawołał Stanisław. — A druga wizyta?

— Druga do mego najbliższego sąsiada, którego willę widać ztąd. Jest to fabrykant płótna, bardzo majętny człowiek, nazywa się Thevenet, latem mieszka tu, zimą w Grenoble. Ma on jedyną córkę i wydaje ją teraz za mąż, za austryackiego oficera, barona Frascati.

— Ah, — zawołał Stanisław, — czy to nasz dzielny pułkownik, który nas wtenczas ocalił, pamiętasz Maksymilianie? Przybył w samą porę!

— To pewnie ten sam!

— Będziecie się mogli jutro o tem przekonać, — rzekł hrabia. — Ślub ma się odbyć na drugi tydzień, a Frascati przyjeżdża jutro. Ja mam już zaproszenie i spodziewam się, że Thevenet zaprosi was także. Zabawimy się tam doskonale!

Maksymilian czuł się tu zupełnie spokojny i szczęśliwy. Jeszcze tylko dwa miesiące — a pięć lat ciężkiej pokuty skończą się! Wtedy pozwoli mu cesarzowa szukać Józefiny! Wszystko, co w tym czasie wycierpiał, wydawało mu się teraz drobnostką, na myśl, że wnet wolno mu się będzie połączyć z ukochaną żoną!

Jeszcze dwa miesiące, a Maksymilian Dorn przestanie istnieć i baron Kronau powstanie znowu z grobu!

Stał on się w przeciągu tych pięciu lat zupełnie innym człowiekiem, pogodził się z swoim losem i poznał, jak zbawienną była kara, którą cesarzowa na niego nałożyła.

### ROZDZIAŁ CV.

**Służąca nauczyciela.**

Nazajutrz pojechali panowie najpierw do nauczyciela.

Pan Bernard był młodym jeszcze i bardzo pięknym mężczyzną, o wykwintnych manierach człowieka z wielkiego świata. Syn niegdyś bogatego ojca, musiał sobie teraz sam zarabiać na życie, ale pomimo ciężkiej pracy i skromnego utrzymania nie tracił nigdy humoru i był powszechnie lubionym i szanowanym.

— Dzień dobry panu, — zawołał hrabia już zdaleka, — przyprowadzam ci moich kochanych gości, o których ci już tyle razy opowiadałem. Mam nadzieję, że się pokochacie tak, jak ja was wszystkich kocham!

Pan Bernard przywitał serdecznie obydwóch młodych przyjaciół, zaprowadził ich do altany, i poszedł do domu po cygara i wino.

— Magdaleno! dał się słyszeć jego głos w sieni, — przynieś do altanki dwie butelki wina i cztery kieliszki.

— Kto jest ową Magdaleną, — zapytał Stanisław.

— To służąca nauczyciela, — odrzekł hrabia, — jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałem. I to jeszcze nie pokutująca Magdalena — bo ona jest tak nieprzystępną, że nawet nie rozmawia z mężczyznami. Jest to uosobistniona cnota!

Pan Bernard wrócił teraz i rozmowa zwróciła się na cesarzową austryacką, która zamierzała na Korfu wznieść zamek czarodziejski, ze złota i marmuru i nazwać go Acheilleion.

Podług najnowszych wiadomości, — mówił pan Bernard, — znajduje się cesarzowa obecnie na Korfu i zajmuje się sama planem budowli. Będzie to coś nadzwyczajnego, coś z tysiąca jednej nocy!

W tejże chwili zaszeleściały suknie kobiece i do altanki weszła młoda, niezwykłej piękności kobieta. Bujne, złoto czerwone włosy otaczały jej bladą, słodką twarzyczkę, a wielkie ciemne oczy patrzały tak smutnie na świat, jak gdyby już były wiele łez przepłakały.

Na widok Maksymiliana zadrżały jej ręce i kieliszki cichym odezwały się dźwiękiem.

Ale i Maksymilian zdumiał gdy spojrzał na nią.

— Gdzie ja tę twarz widziałem, — myślał, — gdzie i przy jakiej sposobności? Może tylko podobna do kogo.....

I daremnie usiłował sobie przypomnieć.

— Mam nalać wino? — zapytała teraz Magdalena swego pana.

— Proszę!

Ale zanim zdążyła otworzyć butelkę, gdy nowy gość ukazał się na ścieżce.

Był to pan Thevenet.

— Ah, to ładnie, — zawołał hrabia, że się tu spotykamy! Chcieliśmy dziś jeszcze być u pana, muszę panu przedstawić mego bratanka i jego przyjaciela, Maksymiliana Dorna.

Thevenet podał im uprzejmie rękę i usiadł obok hrabiego.

— Pozwolę sobie obydwom panom posłać jutro zaproszenie na ślub mej córki, — rzekł, i spodziewam się, że mi nie odmówicie. Za trzy dni ma się odbyć ta uroczystość!

— Słyszałem, odezwał się Maksymilian, — że córka pana wychodzi za Austryaka. Gdzie poznaliście go państwo i kiedy?

Magdalena przyniosła tymczasem piąty kieliszek i otwierała drugą butelkę.

— Zaraz to panu opowiem, — odrzekł Thevenet. — Przed rokiem byłem z Martą, moją córką, we Włoszech, na Capri, i tam poznaliśmy mego przyszłego zięcia. Był on wówczas dziwnie przygnębiony, unikał ludzi, ale dobroć i łagodność mej Marty wywarła zbawienny wpływ na jego usposobienie. Pojechaliśmy potem razem do Egiptu, zwiedzaliśmy piramidy, i gdy Marta raz, przechyliwszy się zanadto przez poręcz, wpadła do wody, skoczył on bez namysłu za nią i uratował mi córkę. Ta przygoda złączyła ich serca i wkrótce potem zaręczyli się!

— My znamy także jednego barona Frascati, — rzekł Stanisław. — Może to nareszcie ten sam! Jak imię przyszłemu zięciowi pana?

— Karol!

W tejże chwili rozległ się w altanie cichy krzyk i brzęk stłuczonego szkła. Butelka z winem wypadła z rąk Magdaleny.

— Cóż to? — zawołał pan Bernard, — co ci się stało?

Magdalena stała blada jak trup, a oczy jej patrzały jak nieprzytomne na pana Theveneta.

I teraz, zamiast odpowiedzieć, wybiegła jak szalona z altany.

— Coto znaczy? — rzekł nauczyciel cicho. — Czyżby moje domysły miały jakąś podstawę?

Goście jego przestali się już zajmować rozlanem winem i rozmawiali dalej o Frascatim.

— Cieszę się, — zawołał Thevenet, — że go panowie znacie! Będzie to dla niego wielką przyjemnością, widzieć was na swoim ślubie. Ale otóż i on!

W tejże chwili wszedł do ogrodu Karol Frascati.

Nie wiele on się zmienił od czasu pobytu swego w Petersburgu. Tylko oczy jego straciły wyraz dawnej swobody i wesołości, był to człowiek poważny, który dawno już zapomniał o szaleństwach młodości.

Z prawdziwą przyjemnością powitał swych towarzyszy broni, tak niespodziewanie tutaj spotkanych, i rozmowa stała się teraz bardzo ożywioną. Pan Bernard jednak był widocznie niespokojny, i gdy goście wstali, aby go pożegnać, nie zatrzymywał ich dłużej.

Po odejściu wszystkich wrócił Bernard do altany, smutny i zamyślony.

— To nie był przypadek, — mówił sobie w duszy, — po za tem przerażeniem ukrywa się coś innego, ale ja nie wiem co! Wkażdym razie dziś jeszcze musi się wszystko rozstrzygnąć! Zapomnę o mojem nazwisku — jestem przecież prostym nauczycielem tylko, i jeżeli ona zechce, ożenię się z nią! Ach, gdyby ona mnie kochała!

I jak na zawołanie ukazała się Magdalena we drzwiach altanki.

Przyszła ona po kieliszki i próżne butelki, i nie patrząc wcale na Bernarda, zaczęła wszystko zbierać na tackę.

— Magdaleno, — odezwał się Bernard cicho, — chciałbym cię o coś zapytać.....

— Co pan każe? — rzekła spokojnie.

— Zdaje mi się, że ty wiesz, o co cię pytać zamierzam......

— Nie!

— Nie wiesz? Więc nie domyślasz się niczego? Zapomniałaś tej chwili, w której przed dwoma laty weszłaś do tego domu?

— O nie, i wiem, ile panu jestem winna wdzięczności!

— O wdzięczności nie ma mowy! Spotkałem cię chorą, słabą, prawie umierającą w lesie, i zabrałem cię z sobą. Pamiętasz, co mówiłaś wówczas? — Pozwól mi umrzeć, mój Boże! Czy nie dosyć jeszcze pokutowałam za moją winę?

— Domyśliłem się, że jesteś bardzo nieszczęśliwą i starałem się osłodzić ci życie, jak mogłem! Ale wkrótce — pokochałem cię, Magdaleno! Czy ty nie odgadłaś, co się w sercu mojem dzieje? Ach, ja kocham ciebie i jedynem mojem życzeniem jest to, abyś została moją żoną!

— Nigdy! Pan jesteś uczciwym, szlachetnym człowiekiem i zasługujesz na miłość uczciwej i szlachetnej kobiety! A ja nie jestem godną twej miłości!

— Magdaleno! Nie pytałem nigdy o twoją przeszłość, ale jeżeli znajduje się w twem życiu jaki grzech, jaki występek lub nawet zbrodnia, to wiem, że odpokutowałaś za to dostatecznie. I nie spytam nigdy gdzie i czem byłaś dawniej — ja chcę tylko tej Magdaleny, którą znam od dwóch lat!

— Ale ja nie mogę zostać żoną pana, ja — kocham — innego! — zawołała Magdalena ze łzami w oczach.

Bernard jęknął głucho.

— Domyślałem się tego! — szepnął z rozpaczą. — I kto jest — ten inny?

— Nie mogę powiedzieć!

— Ale ja wiem, kto on jest! zawołał w uniesieniu. — Znajduje on się obecnie w naszej okolicy! Przysięgam ci jednak, że odepchnę nędznika, który przez całe dwa lata nie troszczył się o ciebie — stanę pomiędzy wami i chociażbym cię zabił, to nie pozwolę nigdy, abyś była żoną innego!

Magdalena milcząc, wybiegła z altany, Bernard zaś został sam, najsprzeczniejszemi miotany uczuciami.

— Nie mylę się, — myślał, zaciskając pięści, — to on, ten Austryak, ten Maksymilian Dorn! Jak ona się zmieszała, gdy spojrzała na niego, a on wpatrywał się w nią, jak gdyby się nie mógł nasycić jej widokiem! Ale czekaj, Maksymilianie Dorn, nie łatwo zwyciężysz mnie! Nie oddam ci bez zaciętej walki skarbu, który porzuciłeś, a który teraz znowu chcesz sobie zabrać! Zobaczymy, kto lepiej potrafi walczyć o to, co kocha!

## ROZDZIAŁ CVI.

### Dziwne echo.

Nazajutrz miał się odbyć ślub Marty Thevenet i barona Frascati. Cała wieś była w ruchu, pan Thevenet był

bogaty, Martę każdy lubił, więc też wszyscy chcieli się przyczynić do uświetnienia tego uroczystego dnia.

Marta, z torebką pełną pieniędzy odwiedzała dziś po raz ostatni swoich biednych i obdarzała każdego hojnie, starając się odgadnąć wszelkie życzenia.

I tak dała jednej wdowie, obarczonej licznemi dziećmi, przekaz na krowę, innej przekaz na węgle, tam zostawiła pieniądze na żywność, tu na odzienie, i tak zadowoliła każdego.

Jutro miała się odbyć jeszcze wielka zabawa ludowa, z obfitą kolacyą i tańcami, to też mieszkańcy wsi oczekiwali z największą niecierpliwością tego pożądanego dnia.

Przed wieczorem przechadzali się narzeczeni po parku, otaczającym willę fabrykanta.

Marta, opierająca się na ramieniu ukochanego, czuła się formalnie upojoną szczęściem — Karol spoglądał na nią z pobłażliwym uśmiechem poważnego człowieka, ale oczy jego miały wyraz smutku i przygnębienia.

— Idźmy na chwilę do tego kiosku, — odezwała się teraz Marta, — jestem zmęczona i chciałabym odpocząć trochę.

Mały brzozowy kiosk, z trzech stron otwarty, wznosił się na małem wywyższeniu, czwarta tylko strona była zakrytą, dla ochrony przed wiatrem. Narzeczeni weszli tam i usiedli na małej ławce.

— Ach, Karolu, — rzekła Marta, — jutro zaczyna się nowe dla mnie życie, piękniejsze i lepsze! Jak gorąco muszę dziękować Bogu za to szczęście! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham!

Karol przycisnął narzeczoną czule do serca i pocałował jej czoło.

— Czasem jednak, — mówiła Marta dalej, — zdaje mi się, że czegoś mi jeszcze potrzeba do mego szczęścia.....

— I cóż takiego, kochanie?

— Twej wesołości i swobody! Od chwili twego przybycia wydajesz mi się taki smutny.... Ach, ja nie wątpię o twej miłości, ale nie wiem, czy będę umiała zachować sobie twoje serce na zawsze! Czy ja zdołam cię uszczęśliwić! I drżę ze strachu na myśl, że może nadejść dzień, w którym ci nie wystarczę, w którym poznasz, że nie jestem taką, jaką byś mieć pragnął.....

— Jak możesz mówić coś podobnego! — przerwał Frascati. „Kocham cię, Marto, kocham cię z całego serca i wiem, że mnie uszczęśliwisz! Ale obawiam się, czy ty zawsze będziesz ze mnie zadowoloną, i to mnie tak przygnębia. Chęci mam najlepsze....

— Jeżeli mnie kochasz — ja niczego więcej nie pragnę!

— Słuchaj Marto — rzekł Frascati poważnie — może będzie lepiej, jeżeli ci w tej uroczystej chwili powiem wszystko, co mnie od dawna męczy i kamieniem na sercu leży. Chcesz posłuchać mej spowiedzi?

— O Boże! — szepnęła młoda dziewczyna zaniepokojona — co ja usłyszę....

— Nic takiego, co mogłoby wpłynąć ujemnie na moją miłość dla ciebie!

Marta oparła główkę na jego ramieniu.

— Mów, najdroższy! — rzekła serdecznie — tajemnica nie powinna istnieć między nami!

Ani Karol ani Marta nie przeczuwali, że za ścianą kiosku stała, młoda, złotowłosa kobieta i z wyrazem rozpaczy na swej pięknej twarzy słuchała rozmowy.

— Więc najpierw — zaczął Frascati — muszę ci wyznać, że raz już kochałem w mojem życiu! Będąc w Petersburgu, poznałem młodą dziewczynę niezwykłej urody, ale biedną, robotnicę z fabryki! Była ona nietylko piękną lecz i cnotliwą i zasługiwała zupełnie na miłość uczciwego człowieka. Nie potrzebujesz się gniewać na mnie, ukochana — wtenczas jeszcze ciebie nie znałem! Sonia — tak było imię tej dziewczyny, była mi bardzo drogą, do tego nawet stopnia, że postanowiłem się z nią ożenić, bez względu na różnicę naszego położenia towarzyskiego.

Pewnego dnia spotkała mnie wielka niespodzianka! Groziło mi niebezpieczeństwo utracenia mego stanowiska — ukradzono mi bowiem ważny dokument polityczny, i z tego powodu byłem w takiej rozpaczy, że chciałem sobie życie odebrać. I w tej stanowczej godzinie przyszła Sonia do mnie — a gdy się dowiedziała, o co chodzi. przyniosła mi w przeciągu dwóch godzin ów dokument. Zacząłem się domyślać, że ona nie jest tem, czem się być wydaje, i że tą biedną robotnicą z fabryki jest jedna z dam najwyższego towarzystwa.

— Dziwna rzecz! — rzekła Marta. — Ale czemu ona się ukrywała pod maską innej....

— Dla tego, że była żoną innego.

— Ah!

— Tak! Owa kobieta bawiła się mojem sercem i widząc, że nigdy moją być nie może, odegrała tę nędzną komedją! Księżna Bassano była nieprzystępną — Sonia kochała mnie, ale złamała wówczas moje serce.

— Widziałeś ją jeszcze później.....

— Tak, niestety! Księżna upadała coraz niżej. chcąc pokrywać szalone swoje wydatki, których mąż płacić nie chciał, zawiązała stosunki z fałszerzami pieniędzy i stała się pospolitą oszustką...

— Okropność! — szepnęła Marta.



— Okropność! — jękła kobieta za kioskiem.

— Okropność — jękła kobieta za kioskiem.

— Co to było? — zawołała Marta. — Tu ktoś mówił... ktoś powtórzył moje słowo....

— Nie, nie, to echo lasu!

Karol nie przeczuwał. że echem tym była piękna, złotowłosa kobieta!

— Wówczas, gdy ją widziałem po raz ostatni — mówił Karol dalej — przyrzekła, że odpokutuje za swoją winę. Od tego dnia minęły całe cztery lata! I z początku myślałem, że jej nigdy nie zapomnę — dniem i nocą marzyłem o niej, i starałem się wszelkiemi siłami o odkrycie jej miejsca pobytu, ale wszelkie usiłowania były daremne. Księżna znikła bez śladu. W końcu znękany, przygnębiony, udałem się za radą lekarzy w podróż na około świata, i we Włoszech poznałem — ciebie! Co dalej było, tego nie potrzebuję ci opowiadać! Pokochałem cię tak, jak nie myślałem, że jeszcze kiedy będę mógł kochać i byłem tyle szczęśliwym, że uzyskałem twoją wzajemność. Teraz wiesz najdroższa, nie zataiłem ci nic! Aż mi lżej na sercu — pomiędzy nami żadnej już nie ma tajemnicy. Kocham ciebie nad życie, a przeszłość moja dawno już poszła w zapomnienie.....

— Zapomnienie! Zapomnienie! — dał się słyszeć głos rozpaczy za ścianą kiosku.

Marta i Frascati zerwali się szybko. Twarz Karola śmiertelnie była bladą.

— Tym razem nie było echo — zawołał. — To był głos człowieka, głos kobiety! Ten głos brzmiał mi w uszach lata całe — muszę się przekonać, czy Diana Bassano powstała z grobu....

I jak szalony wybiegł z kiosku, oglądając się na wszystkie strony.

Ale nikogo tu nie było.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# POD PRUSKIM ZABOREM.

*Napisał RENÉ BAZIN.*

11) *Tłomaczyła J. P.*

(Ciąg dalszy.)

— Czy sądzisz, że nie myślałam o tem wszystkiem? Wiem dobrze, co mogą o mnie powiedzieć. Wiem, że całe społeczeństwo alzackie, nasi sąsiedzi fanatyczni i ograniczeni, potępią mnie nieodwołalnie. Tak, będą na mnie powstawać, obwiniać, żałować. Będą próbowali zachwiać moje postanowienie. Ty już nawet zaczynasz... Czy nie tak? Ale uprzedzam cię, że wszystkie argumenty są zbyteczne... wszystkie... kocham go! Tu niema już nic do zrobienia... Już się stało... Chcę wiedzieć jedno tylko, a mianowicie: czy ty będziesz za mną, czy przeciwko mnie? Moje postanowienie jest niezłomne!

— O Boże, mój Boże — mówił Jan, ukrywając twarz w dłoniach.

— Nie przypuszczałem, że ta wiadomość sprawi ci tyle przykrości i, wogóle, nie rozumiem ciebie! Czyżbyś i ty podzielał ich idyotyczną nienawiść? Powiedz! Staram się przezwyciężyć swoje wzruszenie, ażeby pomówić z tobą spokojnie. Więc powiedz mi, powiedz! Jesteś bledszy odemnie, a przecież tu ja tylko wchodzę w grę!

Wzięła go za ręce i spojrzała mu prosto w oczy.

Jan patrzył na nią jakimś dziwnym wzrokiem, jakby sobie nie mógł jeszcze zdać sprawy z tego, co słyszał.

Po chwili wyrzekł:

— Mylisz się, oboje tu wchodzimy w grę.

— Jakto?

— Stoimy jedno przeciw drugiemu, bo ja także muszę ci powiedzieć, że kocham... kocham Otylię Bastian!

Imię to przeraziło Lucynę, a zarazem wzruszyło ją, bo argument, przytoczony przez brata, był argumentem podyktowanym przez miłość, a zarazem zwierzeniem.

Rozdrażnienie jej znikło. Opuściła głowę na ramię brata, rozrzucając przy tym ruchu swoje złocisto-blond loki i szeptała cicho:

— O, mój Janku!... Fatalność nas prześladuje... Otylia Bastian i on!... Tak... te dwie miłości wykluczają się wzajemnie... O, mój drogi, to jest dalszy ciąg dramatu rodzinnego, który się w nas przedłuża.

Wydało się jej, że słyszy czyjeś kroki, wyprostowała się więc, ale po chwili, znów oparta o ramię brata, ciągnęła dalej:

— Nie możemy rozmawiać tu... a jednak musimy sobie powiedzieć coś więcej, niż imiona ukochanych... Gdyby tak ojciec nas zastał, albo mama, która wyszywa w salonie jakiś odwieczny kobierzec... O mój drogi, pomyśl tylko, że ona się znajduje o kilka kroków od nas, gdy mówimy o tak ważnych sprawach i niczego się nie domyśla... Ale my przedewszystkiem, nieprawdaż, my?... Z początku przyszło jej na myśl, że najlepiej będzie wrócić do domu i zamknąć się z Janem w swoim pokoju. Po namyśle jednak zdecydowała się na obranie lepszej, bezpieczniejszej kryjówki.

— Chodźmy w pole — rzekła — tam z pewnością nikt nam nie przeszkodzi.

Szli przyśpieszonym krokiem, przytuleni do siebie i mówili cicho, urywanemi zdaniami. Wkrótce dotarli do kraty żelaznej, zamykającej park; mijając ubitą wzniesioną drogę, skierowali się na prawo i zaczęli się spuszczać w dół wązką ścieżką, która, niby jasna wstęga, wiła się po pochyłości wzgórza, między młodą runią oziminy. Pierwsze wrażenie zobopólnego zdumienia, zmartwienia i przygnębienia, minęło. Teraz każde z nich myślało o sobie.

— Może się trapimy niepotrzebnie — rzekła Lucyna, zagłębiając się w ścieżkę. — Czyż to koniecznie nasze projekty muszą się wzajemnie wykluczać?

— Tak. Matka Otylii nie zgodzi się nigdy, żeby jej córka miała zostać szwagierką oficera.

— A zkądże ty wiesz, że ten oficer nie będzie wolał wejść do jakiejś rodziny, mniej zacofanej, niż nasza? — rzekła Lucyna mocno dotknięta. — Twój projekt może więc także zaszkodzić mojemu?

— Przepraszam cię, znam Farnowa, nic go nie wstrzyma.

— Prawdę mówiąc, i ja tak sądzę! — rzekła młoda dziewczyna, a twarz jej się rozjaśniła i pokryła rumieńcem zadowolonej miłości własnej.

— On należy do tych, którzy mają zawsze słuszność.

— Doskonale.

— Stanowisz cząstkę jego ambicyi.

— Pochlebiam sobie.

— Możesz więc być zupełnie spokojną, on się nie będzie wahał. Trudności przyjdą ze strony Bastianów, którzy są wyrafinowani na punkcie honoru.

— O, gdyby cię on słyszał — zawołała Lucyna, usuwając rękę z ramienia brata — wyzwałby cię z pewnością.

— Czegóżby to dowodziło?

— Że uczuł zniewagę, jak ja ją uczułam, Janku! Pan Farnow jest człowiekiem honoru.

— Bezwątpienia, ale pojmuje go na swój sposób, inaczej niż my!

— Bardzo odważny! Bardzo szlachetny!

— Nie jestem dziś usposobiony do prowadzenia dysputy. Zanadto cierpię. To jedno wiem, że moja prośba będzie odrzuconą. Odgaduję to, jestem nawet pewien, a pan Farnow nigdy nie zrozumie, dlaczego; jeżeliby zaś i zrozumiał, nie cofnie się z pewnością, nie przyjdzie mu nigdy na myśl poświęcić swoje ja. Nie obmawiam go bynajmniej, tylko przenikam.

Szli dalej między pasami młodych zbóż, oblani ciepłemi promieniami wiosennego słońca, ale zupełnie obojętni na piękno otaczającej ich przyrody. Robotnicy, których spotykali od czasu do czasu, patrzyli na nich z zazdrością. Lucyna nie mogła zaprzeczyć, że obawy jej brata mają zupełnie słuszne podstawy. Tak będzie z pewnością, myślała, znając pana Farnowa i Bastianów.

W każdym innym razie byłaby żałowała Jana, ale w obecnej chwili interes osobisty zagłuszał w niej wszelkie współczucie.

Uczuwała jakąś nieokreśloną radość, kiedy Jan zwierzał się jej ze swych obaw.

Niepokój brata zdawał się upoważniać ją do zagłuszenia wszelkich skrupułów. Nie odczuwając jego boleści, zbliżyła się ku niemu i zaczęła opowiadać o sobie.

— Od tak niedawna mieszkamy razem, drogi Janku, że nie miałam sposobności wypowiedzieć ci moich poglądów na małżeństwo, dlatego jesteś tak zdziwiony dzisiejszą wiadomością. Widzisz, postanowiłam koniecznie zaślubić człowieka bogatego, nie chcę drżeć o jutro, chcę być pewną przyszłości, panować.

— Zatem główny warunek wypełniony — odparł Jan z goryczą. — Farnow jest bardzo bogaty, ma ogromne dobra na Śląsku, ale jest porucznikiem w 9-tym pułku nadreńskich huzarów!

— Więc cóż z tego?

— Jest oficerem w armii, przeciwko której walczył twój ojciec, twój stryj i wszyscy twoi krewni, zdolni do noszenia broni.

— Bezwątpienia, ja także, mój drogi, wolałabym może wyjść za mąż za Alzatczyka. Było to nawet mojem tajemnem życzeniem. Ale nie znalazłam tego, czego sobie życzyłam. Prawie wszystko, co miało w Alzacyi jakieś imię, majątek, znaczenie, stanęło po stronie Francyi, to jest, po wojnie opuściło Alzacyę. Nazwano to patryotyzmem. Istotnie, słowa służą na wszelki użytek. Któż pozostał w Alzacyi! Możesz z łatwością porachować młodych bogatych ludzi pochodzenia alzackiego, którzyby się mogli ubiegać o rękę Lucyny Oberle!...

Ciągnęła dalej, ożywiając się stopniowo:

— Ale oni się nie ubiegali o mnie, mój drogi, i ubiegać się nie będą! Oto czego, być może, nie zrozumiałeś jeszcze jasno. Usunęli się wszyscy od nas tak, jak i ich rodzice, dlatego, że nasz ojciec pojednał się z Niemcami. Nasza rodzina jest jakby wyklęta! I wskutek tego ja należę do panien, których się nie zaślubia. Potępiła mnie nieodwołalnie ich nietolerancya i ciasnota poglądów. Nazywają mnie wprawdzie „piękną Lucyną Oberle,“ ale żaden z tych, którzy mi się przyglądają z upodobaniem i witają z udanym szacunkiem, nie ośmieliłby się pójść wbrew opinii ogółu

i oświadczyć o rękę moją. Nie mam więc żadnego wyboru, przeto nie masz prawa czynić mi wymówek. Położenie jest tego rodzaju, że nigdy żaden Alzatczyk nie ożeni się ze mną. I nie moja w tem wina. Upewniam cię, że wiedziałam dobrze, co robię, przyjmując pana Farnowa.

— A więc już go przyjęłaś?

— Oczywiście. Jestem z nim związana słowem. Już od zeszłej jesieni, a szczególniej w ciągu ostatnich czterech miesięcy, pan Farnow jawnie i gorąco starał się o mnie.

— A więc to jego widziałem konno koło parku wieczorem w dzień mego powrotu do domu?

— Tak.

— I to on zwiedzał niedawno naszą fabrykę razem z drugim oficerem.

— Tak. Ale przeważnie widywałam go w towarzystwach w Strasburgu, kiedy ojciec prowadził mnie na różne bale i obiady. Wiesz dobrze, że mama z powodu słabego zdrowia unikała stale bywania ze mną w świecie. Pan Farnow zaś nie unika mnie nigdy. Spotykałam go wszędzie. Miał zupełną swobodę rozmawiania ze mną. Wreszcie, kiedy był tu, zapytał ojca, czy upoważniam go do uczynienia pierwszego kroku i tego samego poranku, zaraz po śniadaniu odpowiedziałam twierdząco.

— A więc mój ojciec się zgadza?

— Tak.

— A inni?

— Nie wiedzą o niczem. O, to będzie straszna chwila, pomyśl tylko! Matka! Dziadek! Wuj Ulrych! Liczyłam na twoje poparcie, Janku. Sądziłam, że mi pomożesz zwyciężyć przeszkody, a później zagoisz te rany, które muszę im zadać. Najpierw trzeba przedstawić pana Farnowa mamie, która wcale go nie zna. W Alsheimie jest to narazie niemożliwe. Myśleliśmy więc o jakiemś zebraniu na gruncie neutralnym w Strasburgu. Ale jeżeli masz powiększyć liczbę moich wrogów, pocóż mam ci mówić o swoich planach!

Stanęli oboje.

Jan się zamyślił głęboko, patrząc na rozciągającą się przed nim równinę, pokrytą świeżą zielenią w rozmaitych odcieniach. Pasy młodych zbóż zlewały się z sobą, mieniły się i falowały, niby płynąca woda.

Jan podniósł swe oczy na siostrę, która stała przed nim z podniesionem czołem i błagalnie patrzyła na niego niespokojna, podniecona, wyczekując niecierpliwie odpowiedzi.

— O, ty nawet pojąć nie możesz, jak strasznie cierpię — mówił Jan. — Zburzyłaś zupełnie moją radość.

— Mój drogi! Przecież nic nie wiedziałam o twojej miłości.

— Ja zaś nie mam odwagi łamać twojego szczęścia.

Rzuciła mu się na szyję.

— O, jakże jesteś szlachetny, mój Janku, jak dobry!

Usunął się lekko i rzekł ze smutkiem:

— Nie tak znów, jak sobie wyobrażasz. Byłoby to wielką słabością z mojej strony. Nie pochwalam cię wcale. Nawet nie wierzę w twe szczęście.

— Ale przynajmniej zostawiasz mi swobodę. Nie będziesz się sprzeciwiał? Będziesz mnie bronił przed mamą?

— Tak, ponieważ jesteś związana słowem, ponieważ ojciec zezwolił, a opór mamy mógłby sprowadzić jeszcze większe nieszczęście.

— O tak, masz słuszność, Janku, jeszcze większe nieszczęście, bo ojciec powiedział...

— Tak, domyślam się. Ojciec ci powiedział, że złamie wszelką opozycyą, rozłączy się z matką, ale nie ustąpi... To zupełnie możliwe. Gotów to zrobić. Nie będę więc z nim rozpoczynał nierównej walki. W stosunku do Farnowa zachowam jednak swobodę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — przerwała żywo Lucyna.

— Chcę — odparł Jan poważnie, a w głosie jego dźwięczało niezłomne postanowienie — Chcę, aby wiedział dokładnie, co o tem wszystkiem sądzę. Znajdę jakiś sposób do porozumienia się z nim. Jeżeli mimo to będzie trwał w swoim uporze zaślubienia ciebie, niech wie przynajmniej, jaka przepaść myśli i uczuć nas dzieli.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparła Lucyna ze spokojnym uśmiechem, bo w głębi duszy była przekonaną, że pan Farnow wytrzyma tę próbę.

Obróciła się ku Alsheimowi, chcąc ukryć swą radość z odniesionego zwycięztwa. Okrzyki szczęścia cisnęły się jej na usta, ale je powstrzymała.

Stała czas jakiś w milczeniu, zdenerwowana i rozgorączkowana, szukając w myśli, coby też mogła powiedzieć, ażeby jej szczęście nie wydało się bratu zniewagą jego boleści.

— Biedny nasz dom — wyrzekła nareszcie, pochylając głowę. — Teraz, gdy go mam wkrótce opuścić, staje mi się drogim. Jestem pewną, że z czasem, kiedy życie wojskowe rzuci mnie gdzieś daleko od Alzacyi, będę marzyła o Alsheimie i w pamięci mojej pozostanie takim, jakim go widzę teraz.

Czerwone dachy domów, otoczone wstęgą zieloną ogrodów, tworzyły jakby wyspę wśród pól, zasianych zbożem i koniczyną kwietniową. Ponad Alsheimem przelatywały małe ptaszyny, skąpane w blaskach słońca. Dom mieszkalny Oberle nie wyróżniał się na tej odległości z pomiędzy innych domów. W przyrodzie rozlana była jakaś dziwna błogość. Zdawało się niemożliwem, żeby życie ludzi mogło być jej pozbawione.

Pod wpływem tego widoku Lucynę ogarnęło jakieś dziwne rozmarzenie, wywołane myślą o miłości, o nim.

Powtórzyła swe własne słowa:

— W pamięci mej pozostanie Alsheim takim, jakim go widzę teraz.

Falista linia lasu, wznosząca się niby siny obłok po za ogrodami, na skraju siedziby Bastianów, przypomniała jej boleść Jana. Teraz zaledwie spostrzegła, że dotąd nie odpowiedział jej ani słowa. Zmartwiła się szczerze, ale nie do tego stopnia, żeby się miała wyrzec swego szczęścia dla szczęścia brata. Ogarnął ją tylko jakiś żal, że ich uczucia tak się wzajemnie wyłączają.

Ostry ból, zadany bratu, mącił jej spokój. Chciała ten ból złagodzić, ukoić pieszczotą, ukołysać serdecznemi słowami.

— O mój Janku, mój drogi bracie — mówiła słodko — postaram się dopomódz ci, o ile będę mogła. Kto wie, czy wspólnemi siłami nie rozwiążemy tego trudnego zadania?

— Nie, ono przewyższa i twoje i moje siły.

— Otylia cię kocha? Prawda, że cię kocha? Powinniście więc być silni.

Jan przerwał jej z gestem zniechęcenia.

— Nie próbuj mnie pocieszać, Lucynko, wracajmy.

— O nie, nie, proszę cię opowiedz mi przynajmniej, kiedy ją pokochałeś. Zasłużyłam na twoją otwartość. Umówiliśmy się przecież, że powiemy sobie, coś więcej, niż imiona... Masz tylko mnie jedną, przed kim możesz otworzyć bezpiecznie swe serce.

Stawała się pokorną, jakby upokorzoną swem tajemnem szczęściem. Ponowiła swą prośbę w tak czułych wyrazach, tak się unosiła nad dumną pięknością Otylii, że Jan zaczął mówić. Czuł poprostu potrzebę zwierzenia się przed kimkolwiek ze swych nadziei, któremi żył tak długo, a których cień zaledwie pozostał w jego duszy.

Opowiedział siostrze o dniu, spędzonym na górze św. Otylii, o spotkaniu się z ukochaną w Wielki Czwartek w alei wiśniowej. Zagłębiając się we wspomnieniach, przypominali sobie nawzajem różne wypadki i daty z czasów dzieciństwa, kiedy jeszcze rozdział między ich rodzinami nie był tak głęboki, jak dziś, zaledwie dawał się uczuwać, a dzieci o nim wcale nie wiedziały, bawiąc się razem podczas wakacyj letnich.

Jan, Lucyna i Otylia byli pewni, że i oni i ich rodzice żyć będą zawsze w ścisłej przyjaźni, otoczeni miłością i szacunkiem całego Alsheimu.

Lucyna nie zdawała sobie sprawy, że wywołując obrazy z czasów szczęśliwszych, nie mogła uspokoić burzy, miotającej duszą brata. Zagłębił się on wprawdzie z lubością w te dawne wspomnienia, chcąc oddalić od siebie myśl o chwili obecnej, ale to porównanie przeszłości z teraźniejszością obudziło w jego duszy jeszcze silniejszy bunt przeciw ojcu i siostrze, przeciw jej udanemu współczuciu, które pokrywało zupełną nieudolność do ofiary i poświęcenia. Wkrótce zaprzestał zupełnie odpowiadać na pytania Lucyny.

Alsheim rósł w ich oczach, zarysowując na cieniu długą i poszarpaną sylwetkę.

Wieczór był cichy. Pomiędzy cienkiemi drzewami wznosił się dach rodzinny Lucyny i Jana. Park był już zamknięty, jak zwykle po odejściu robotników. Jan, otwierając furtkę, zwrócił się do siostry z gorzką ironią:

— Pani baronowa von Farnow raczy wstąpić w progi domu dawnego posła opozycyjnego, pana Filipa Oberle.

(Ciąg dalszy nastąpi).